WYSPY SANDWICKIE i GAMBIER

przez X. J. Hołubowicza

33

Nagroda pilności

dla

L. Pieniążkówny

uczennicy klasy 5tej

szkoły P.P. Duchaczek

1894 r.

WYSPY
SANDWICKIE i GAMBIER
W OCEANII

przez

X. Józefa Hołubowicza T. J.

W KRAKOWIE,
W DRUKARNI „CZASU“ FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem J. Łakocińskiego.
1892.

WYSPY SANDWICKIE I GAMBIER.

WYSPY
SANDWICKIE I GAMBIER
W OCEANII

przez

X. Józefa Hołubowicza T. J.

W KRAKOWIE,
W DRUKARNI «CZASU» FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1892.

Nakładem Redakcyi „Missyj katolickich“.

SŁOWO WSTĘPNE.

Mało dotąd pisano u nas o Oceanii, a jednak i ta część świata, zasiana perełkami uroczych wysp, zawiera w sobie wiele przedmiotów, godnych naszej uwagi, tak z dziedziny przyrodnictwa, jak i ludoznawstwa, a co nas tu najwięcej obchodzi, przedstawia także i w zawodzie społecznym wiele szczegółów, mogących zająć umysł i zadowolnić serce. Wprowadzamy więc szanownych czytelników naszych na te olbrzymie wody oceanu Spokojnego, po których niezliczone grupy wysp rozsiadły się jak gwiazdy na niebie. Warto obeznać się nieco z niemi, warto przedewszystkiem śledzić dokonujące się na nich postępy posiewu wiary świętej. Nie mówiąc już bowiem nic o Australii i Nowej Zelandyi, liczymy w Oceanii, według najnowszych wykazów, już 247.800 katolików, 229 kapłanów i znaczną liczbę kaplic i kościołów. — Wiara katolicka szerzy się tu, zwolna wprawdzie, bo walczyć musi nieustannie z mnóstwem sekt najróżnorodniejszych, ale szerzy się nieustannie i dzikich dawniej ludożerców zamienia na spokojnych, pracowitych i uczciwych ojców rodzin.

Między geografami nie jest jeszcze ustalona sama

nazwa tego zawyspionego wód obszaru. Jedni zowią go Oceaniją, drudzy Polinezyą, inni znowu dają tylko jednej połowie nazwę Oceanii, a drugiej Polinezyi. Nie wchodząc w rozstrzygnienie tej kwestyi nazwisk, trzymamy się poprostu podziału, jaki przyjęła Stolica apostolska i kongregacya Propagandy przy ustanowieniu wikaryatów apostolskich.

Według tego Oceania, z wyłączeniem Australii i Nowej Zelandyi, dzieli się na dziewięć wikaryatów następujących:

1. Wikaryat wysp Sandwickich (Sandwicz, Honolulu).
2. Wikaryat wysp Towarzyskich (Tahiti).
3. Wikaryat wysp Markizów (Nuka-Hiwa).
4. Wikaryat wysp Żeglarskich (Samoa, Tokelau).
5. Wikaryat wysp Przyjacielskich czyli Oceanii środkowej (Wallis, Wawao, Haapai).
6. Prefektura apostolska wysp Fidżi.
7. Wikaryat apostolski Nowej Kaledonii (razem i Nowych Hebryd).
8. Wikaryat Melanezyi (Nowa Gwinea, Nowa Bretania, wyspy Salamona).
9. Wikaryat Mikronezyi (Karoliny, Maryany, Ralik, Ratak).

W niniejszej pracy mowa jest tylko o wyspach Sandwickich i o wyspie Gambier z grupy wysp Towarzyskich. Jest to ostatnia praca dawnego redaktora «Missyj katolickich» X. Józefa Hołubowicza. Miał on zamiar opisać wszystkie wikaryaty apostolskie Oceanii, gdy śmierć przedwczesna z początkiem r. 1887 przerwała rozpoczętą pracę. Pomimo tego tem co napisał dzielimy się z czytelnikami, jako z drogą spuścizną literacką po zmarłym, a tem większą mamy ufność, iż mile przez czytających przyjętą zostanie — skoro autor

mówi właśnie o tej grupie wysp Sandwickich, w której znajduje się dziś już tak sławna wyspa Molokai, uświęcona pracą i śmiercią heroiczną O. Damiana Deveuster, apostoła trędowatych. W chwili, gdy te karty kreślił ś. p. X. Hołubowicz, O. Damian, acz już trędem zarażony, jednak jeszcze oddawał się pracy apostolskiej około upośledzonej swej braci. Miło nam będzie bliżej zapoznać się z polem pracy O. Damiana, a więc najpierw z geografią i etnografią grupy wysp Sandwickich, z usposobieniem i zwyczajami tamtejszych mieszkańców i niejako zbliska przypatrzyć się stacyi misyjnej w Molokai, tak znakomicie prowadzonej przez jednego kapłana. Na innem miejscu (zob. «Missye kat. r. 1889 str. 314) mieliśmy sposobność podać bliższe szczegóły, tyczące się cnót jego apostolskiego życia i heroicznej śmierci przedwczesnej, jaka go spotkała wskutek zarażenia się przy obsłudze trędowatych braci. Będzie to więc w części uzupełnieniem znanych już szczegółów o O. Damianie, w ogólności zaś przedmiotem, o ile nam wiadomo, dotychczas wcale nie poruszanym przez polskich pisarzy.

Kraków w dniu 10 Stycznia 1892.

X. M. C.

WYSPY SANDWICKIE.

I.

Wiadomości geograficzne i etnograficzne archipelagu.

Ktoby dzisiaj ze San Francisco, z Portsmouth, albo z Hamburga wybierał się w podróż do wysp Sandwickich, nie powinienby mieć na myśli zobaczenia dzikich ludów, tak jak je opisują podróżni, wracający z Nowej Kaledonii, albo z wysp Markizów. Już tam koło brzegów nie krążą owe długie plecione łodzie wojenne, napełnione czarnym, dzikiego wejrzenia ludem; już tam z zarośli nadbrzeżnych nie wychyla się brzydko tatuowany Kanak z łukiem i z zatrutemi strzałami. Zamiast tego wstrętnego widoku spotka się tam podróżny teraz z pociągami kolei żelaznych, z drutami telegrafów i telefonów, przechadzać się będzie po szerokich ulicach miasta Honolulu, a dokoła zobaczy pyszne europejskie i amerykańskie sklepy, najświeższe mody francuskie, zastosowane do czarnych elegantów i elegantek murzyńskich i na każdym kroku usłyszy język Albionu



Wyspy Sandwickie. — Wylew lawy z wulkanu Kilauea, według fotografii X. Montiton (str. 6).

zmieszany z dźwiękami nieznanej mu jeszcze mowy sandwickiej. Takiem jest dziś Honolulu, stolica archipelagu sandwickiego.

Archipelag ten, zaliczony do Polinezyi, zwany także archipelagiem Hawajskim, leży na północno-wschodniej stronie Spokojnego oceanu pomiędzy 154° a 161° zachodniej długości, według południka Greenwich i między 18·50° a 20° północnej szerokości. Składa się z ośmiu wysp większych, a mianowicie: Hawai, Maui, Molokai, Lanai, Oahu, Kahulaui, Kauai i Niihau, a nadto z pięciu wysp mniejszych, niezaludnionych.

Wyspy te są po większej części górzyste i wulkaniczne. Największa wyspa Hawai, mająca 12.600 kilometrów kwadratowych przestrzeni, a około 20.000 mieszkańców, odznacza się ostremi szczytami gór niezmiernej wysokości i wulkanami, które nieustannie prawie zioną lawę i zalewają nią znaczną przestrzeń ziemi do koła. Cztery najważniejsze kratery wulkaniczne na tej wyspie są: Mauna-Loa, Kilauea, Mauna-kea i Mauna Hualalai. Pierwszy z nich jest na szczycie góry dochodzącej do 13.500 stóp wysokości. Od czasu do czasu otwierają się w pewnych miejscach nowe kratery, które z zadziwiającą prędkością i siłą wylewają i rozlewają wrzące strumienie swej lawy. O. Montiton, missyonarz, który w roku 1881 zwiedził nowy wulkan Kilauea, przysłał do Lugdunu ztamtąd dwie fotografije, przedstawiające owo spustoszenie jakiego naocznym był świadkiem, a ryciny, któreśmy tu umieścili (zob. str. 5 i 9), są wiernem odbiciem tychże fotografij. — Pisał wtedy O. Montiton, że gdy się zbliżał do tego strasznego widowiska, widział zdala nieprzejrzaną okiem kilkumilową przestrzeń zalaną lawą, która dosięgnąwszy lasu, a nie mogąc się łatwo przedrzeć przez wielką gęstwinę, wznieciła w niej straszny pożar, trwający kilka tygodni. Na

kilka mil do koła zniszczyła wtedy lawa wszystkie plantacye, pastwiska i łąki, a rozlewając się wzdłuż pochyłości przez 20 mil angielskich dotarła niemal aż do samego portowego miasta Hilo. To małe ale piękne miasto przyjmowało odtąd w swym porcie (zob. str. 13), mnóstwo podróżnych z dalekich nawet stron, przybywających tu dla zwiedzenia wulkanu.

Zdawałoby się, że ziemia tych wysp, wystawiona na tyle wulkanicznych wybuchów i szkodliwych wyziewów, będzie do uprawy niesposobną, że klimat jej będzie odrażającym dla mieszkańców, i że wogóle cały archipelag musi bardzo smutny widok przedstawiać. Tymczasem rzecz się ma przeciwnie. Kraj to bardzo uroczy. Oprócz najlepszego klimatu, żyznej ziemi, bogatych płodów i korzystnego położenia, nie doznaje tych burz gwałtownych, jakie nawiedzają i niszczą inne wyspy Oceanii. Morze odznacza się tutaj wielką obfitością ryb, jakby na wynagrodzenie tego braku, jaki się stosunkowo czuje pod względem zwierząt domowych, chociaż i temu brakowi zaradzają dowozy z Europy. Wszystkie zwierzęta europejskie aklimatyzują się łatwo na wyspach Sandwickich, wyjąwszy jednej owcy, co zaiste dziwnem jest zjawiskiem przyrodniczem.

Z pomiędzy roślin kokosy, banany, korzeń Aronowy, ryż, kukurydza i bataty czyli ziemniaki swojskie, także i ziemniaki zwykłe, sprowadzane z Ameryki, a już teraz uprawiane na wyspach, są głównym pokarmem ludności. Ale prócz tego znaleźć tam można wszelkie owoce południowe, morwę papierową, trzcinę cukrową, kawę, wino, melony i jarzyny. Lasy zaś, dostarczające drzewa budulcowego, nie tylko na budowę domów, ale i okrętów, są prawdziwem bogactwem. Sól znajduje się tam także w wielkiej obfitości.

X. biskup Maigret tak opisywał w r. 1855 wyspy

Sandwickie w liście datowanym z Honolulu, stolicy wysp Sandwickich:

»Dobrze zważywszy naszą missyę, nie liczymy jej do bardzo uciążliwych. Mamy tu wyborną temperaturę; nie ma tu prawie nigdy zimna, a upały nie są nigdy zbyteczne. Panuje tu wieczna wiosna; drzewa nasze nie są nigdy obnażone z liści; mamy owoce w każdej porze roku; nie potrzebujemy się obawiać ani dzikich zwierząt, ani jadowitych gadów. Krajowcy są gościnni i z natury łagodnego usposobienia; mówią wszyscy jednym językiem i spólnym podlegają prawom«.

Stołecznem miastem archipelagu jest Honolulu na wyspie Oahu (zob. str. 17), liczy 20.487 mieszkańców, ma ulice i domy urządzone na sposób europejski i największy a oraz najwygodniejszy port; ztąd też i handel jest tu bardzo ożywiony, tak dalece, że nań przypada 95 procent dowożonych lubwywożonych towarów w handlu sandwickim. Niedaleko od miasta wznoszą się wysokie skały, a między niemi głębokie rozpadliny, które wspaniały przedstawiają widok i są przedmiotem ogólnego podziwu (zob. str. 21). — Ważniejsze miasta są jeszcze: Hilo, Kolaa, Lahina, Peli, Kailiku, Kauhaka, Kahulaui, Kaulanamana, Neupeu, Hamakua, Zaninai, Kiakuloa, Krauwai, Kaena, Waiki, Hanalei i t. d.

Według najnowszego obliczenia z r. 1884 liczba wszystkich mieszkańców wysp wynosi 80.578. Między tymi jest tylko 40.014 krajowców, tak zwanych Kanaków, których można zaliczyć do najpiękniejszej i najsilniej zbudowanej rasy polinezyjsko-malajskiej. — Zanim się jeszcze zetknęli z Europejczykami, już odznaczali się łagodniejszem od reszty usposobieniem i wielką przemyślnością. Prócz nich jest jeszcze na wyspie Hawai blisko 18.000 Chińczyków. Resztę ludności stanowią Japończycy, Portugalczycy, Anglicy, Jankeesowie, Fran-



Wyspy Sandwickie. — Widok lawy spadającej z góry, według fotografii X. Montiton (str. 6).

cuzi, Niemcy, tudzież osadnicy z Polinezyi i Mikronezyi.

Według wyznań należy 29.658 do różnych sekt protestanckich, 24.072 mieszkańców wyznaje wiarę katolicką. Reszta obcych przybyszów, t. j. Japończycy, Chińczycy i Polinezyjczycy, trzymają się religii Konfucyusza, budajskiej lub syntoickiej. Religia protestancka jest dotąd religią rządową, ale inne religie mają zapewnioną wolność.

Władzę najwyższą w archipelagu dzierży król. Ustawa rządowa była ustaloną w r. 1840, ale w r. 1845 pod wpływem Amerykanów, a bardziej jeszcze w r. 1864 była zmienioną na korzyść swobód konstytucyjnych. — Według tej nowej ustawy król w ważniejszych sprawach ma zwoływać swoją »tajną radę«, czyli rodzaj rady sejmowej, złożonej do połowy z krajowców, a do połowy z osiedlonych cudzoziemców. Izba wyższa składa się z dwudziestu członków dożywotnie mianowanych, izba niższa zaś z 42 członków, wybranych przez lud na lat 24. Zebranie sejmowe ma być przynajmniej co drugi rok zwoływane.

Co do szkół średnich, są osobne szkoły dla dzieci rodziny królewskiej i rodzin znakomitszych w kraju, a osobne znowu dla dzieci rodzin pospolitego stanu, a wszystkie zależą od rządu i jego kosztem bywają utrzymywane. Prócz tego są jeszcze szkoły elementarne ludowe, kosztem gmin utrzymywane. Sądownictwo wykonywane bywa na sposób europejski przez urzędników sądowych; nie ma jednak żadnych sądów przysięgłych.

Król ma prawo powoływać do wojska wszystkich poddanych bez wyjątku. Stała armija wynosi na stopie pokojowej nie więcej jak 75 żołnierzy. Prócz tego jednak istnieją jeszcze cztery kompanije ochotników, piechoty, konnicy i artyleryi, wynoszące razem 400 żołnierzy.

Floty wojennej nie ma żadnej. Za to flota handlowa liczy 55 statków, między temi 12 parowców.

Jest także kilka dróg kolei żelaznej w niewielkiej długości, mianowicie na wyspie Hawai z Hilo do Wajakea, z Mahukona do Kohala i z Kahulaui do Wailuku i Makawao. Są tu także urządzone w niektórych przestrzeniach stacye telegraficzne i telefoniczne.

II.

Dawne pojęcia religijne i zasady obyczajowe ludu sandwickiego.

Zanim streścimy dzieje missyi katolickiej w tym archipelagu, pragniemy obeznać czytelników naszych z dawniejszemi podaniami Sandwichów religijnej i obyczajowej natury. Przyczyni się to niemało do lepszego zdania sobie sprawy z wielu osobliwości tego ludu. — Korzystamy w tym względzie z uczonej pracy Ojca Joachima Maréchal'a, jednego z pierwszych missyonarzy wysp Sandwickich, którą tu przytaczamy w streszczeniu, poprzedzając ją listem Ojca Montiton, jego następcy:

»Nie myślę szkicować wam tych czarownych widoków kraju, — pisze O. Montiton, — jakie się obecnie przedstawiają oczom moim. Znacie je poniekąd z innych opisów. Co do mnie, jestem 4000 stóp ponad poziomem morza, na pochyłości góry, która jeszcze o 10.000 stóp wyżej piętrzy się ponad moją głową w krainie wiecznych śniegów. Mieszkam w niewielkiej gospodzie, wystawionej dla turystów i chorych. Jeszcze więcej jednak zadziwi was, gdy wam powiem, że mieszkanie moje stoi w niewielkiej odległości od sławnego krateru

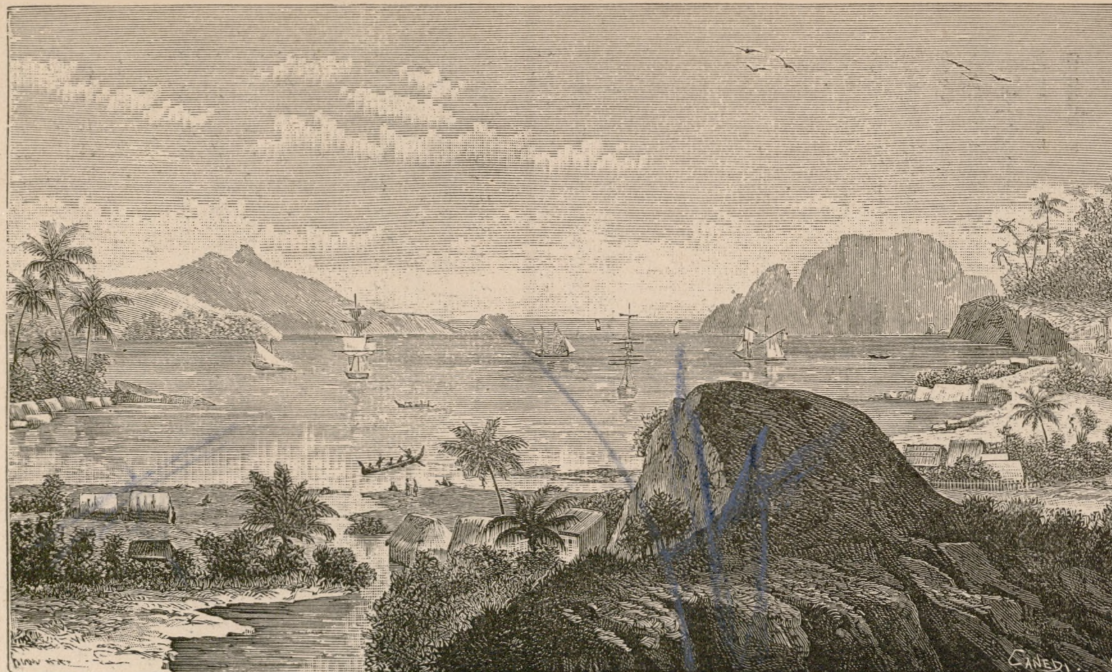
Kilauea, który ustawicznie miota kłęby dymu i ognia z takim hukiem, jakiegoby się nie powstydziła potężna baterya artyleryi. Ale i o tych olbrzymich wybuchach podziemnej natury nie myślę wam pisać; uczyniłem to bowiem w innym liście moim.

»Dziś pragnę wyszczególnić wam te pojęcia i obrzędy religijne, jakie tu nasi missyonarze zastali, gdy po raz pierwszy przybyli głosić ewanielię, a następnie pomówić także o prawach obyczajowych naszego ludu sandwickiego. Już od roku przeszło znajduję się na wyspie Hawai, na tej urodzajnej niwie missyjnej, zroszonej znojem nieodżałowanego naszego O. Maréchal'a, który umierając pozostawił mnogie zapiski swoich spostrzeżeń i zebranych podań miejscowych. Ludzie starzy mogli go bardzo dokładnie pouczyć o pierwotnym stanie religijnym tych wysp, a byli tam tacy, którzy już żyli w czasie, kiedy przybył do nich kapitan Cook, to jest jakie 50 lat przed wprowadzeniem tu chrześcijaństwa. Uzupełniłem tę pracę własnemi spostrzeżeniami«.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że pierwotnie miano tu pojęcie o istnieniu jednego najwyższego boga. Ten bóg, jak ów »wielki duch« Indyan, odbierał tu cześć powszechną, jako stwórca wszech rzeczy i jako sędzia najwyższy, nagradzający za dobre uczynki, a zsyłający kary za zbrodnie.

Objawiały się tu także pewne okruchy prawd biblijnych o stworzeniu świata, o potopie, o Mojżeszu itd. Przy religijnych obrzędach śpiewano pieśń o stworzeniu świata i pierwszego człowieka, która się tak rozpoczynała:

O ka ponui ke kane,	Noc wielka była mężem
Ke ao ke wahina,	A dzień był żoną,
Hano ko kapo me keao	Urodził się z nocy i z dnia
O kane, kumü onua	Kane, stwórzyciel ziemi
O ka ponui i owea.	Była to noc wielka w chaosie.



Miasto portowe Hilo (zob. str. 7).

Pieśń ta przypisuje światu początek, i z chaosu i nicości każe powstawać pierwszym bogom na wzór starych poetów, a zwłaszcza Hezyoda. W polinezyjskich narzeczach *kane* znaczy mężczyznę, a zarazem na wszystkich archipelagach *kane* oznacza boga bogów. *Kane kümü onüa* jest stworzycielem świata, a wielki kapłan sandwicki tłumaczył, że *kane kümü onü alani* to stwórca nieba i ziemi, ludzi i bogów, o którym inna pieśń tak mówi:

On jest początkiem — źródłem wszech rzeczy,
On stworzycielem nieba i ziemi.
To król obcy, nie z tej wyspy,
To król wielki z poza chmur,
Z ostatnich krańców obczyzny.

Inny znowu utwór poetyczny mówi, że drugi bóg *kanaloa* stworzył razem z kanem pierwszego człowieka z gliny i ziemi. Czy nie przypomina to słowa Genezy: *Uczyńmy człowieka!*

Temu bogu przypisywał lud hawajski (sandwicki) rządy Opatrzności, czuwającej nad sprawami ludzkiemi i wymierzającej sprawiedliwość za dobre lub złe uczynki ludzkie. Wiara ta objawiała się nie tylko w pieśniach, ale w ofiarach i w życiu.

O potopie były tu tak powszechne i utarte tradycye, że missyonarze wcale nie potrzebowali szukać wyrazu dla oddania tego biblijnego faktu. Nazywali oni potop *kaja-ka hina-lii*; to znaczy »wody wielkiego upadku«. Według opowiadań byli to ludzie wielcy (olbrzymi Genezy), którzy okrywszy ziemię swemi zbrodniami, ściągnęli na nią i na siebie topiele gniewu bożego. — Opiewają to zdarzenie wszystkie poezye i liturgiczne śpiewy tego ludu, wraz z głównemi dalszemi szczegółami. Według jego podań znalazła się tylko jedna szczęśliwa para ludzi, co uniknęła śmierci. *Nüanü* i jego żona

Liline uratowali się na pniu drzewa *ohia* (rodzaj jabłoni hawajskiej), i unieśli ze sobą ogień; następnie zatrzymać się mieli na szczycie góry *Nonakea*, najwyższej z gór archipelagu.

Historya Józefa egipskiego żywo odźwierciedla się również w podaniach sandwickich. Wekelenü jakiś był synem Tekuego, miał dziewięciu braci i jednę siostrę. Szczególna miłość, jaką mu okazywał ojciec, rozniecila zazdrość w sercach braci, tak, że wrzucili go do głębokiego dołu. Najstarszy jednak brat, zdjęty miłosierdziem, polecił go opiece jakiegoś Hohonaeta, do którego ów dół należał. Wekelanüjekü zdołał umknąć i udał się do kraju, którego królem był Kamohaolü. Tam zamknięto go w lochu, gdzie już było wielu zbrodniarzy. Tym kazał opowiedzieć sny swoje. Następnej nocy trzech widziało we śnie trzy rodzaje pokarmów: jabłko z drzewa *ohia*, banan i wieprzowinę, na co wszystko z wielkim spoglądali apetytem. Czwarty widział czarę pełną soku z *awy* (owocu soczystego, dość powszechnego w Oceanii), co także chciwie wypił. Wekenlenüjekü wytłomaczył temu ostatniemu, że to znaczyło jego uwolnienie; tamtym zaś przepowiedział wyrok śmierci, do którego mieli się gotować. Wkrótce potem wszystko się tak spełniło, jak im był oznajmił. Skoro o tem król się dowiedział, ucieszony, że we Wekelenüjekü znalazł człowieka, obdarzonego sztuką tłumaczenia snów, zrobił go jednym z najpierwszych w swojem królestwie.

Wreszcie mieli Hawajczycy także podanie o człowieku, który, jak Jonasz, połknięty przez rybę, został potem żywcem wyrzucony na brzeg morski.

Zwyczajami swemi i obrzędami religijnemi nawet zbliżają się Hawajczycy czyli Sandwiczowie do życia dawnego ludu żydowskiego. I tak ceremonia, jaką prawo Mojżeszowe przepisuje po narodzeniu chłopiąt, do-

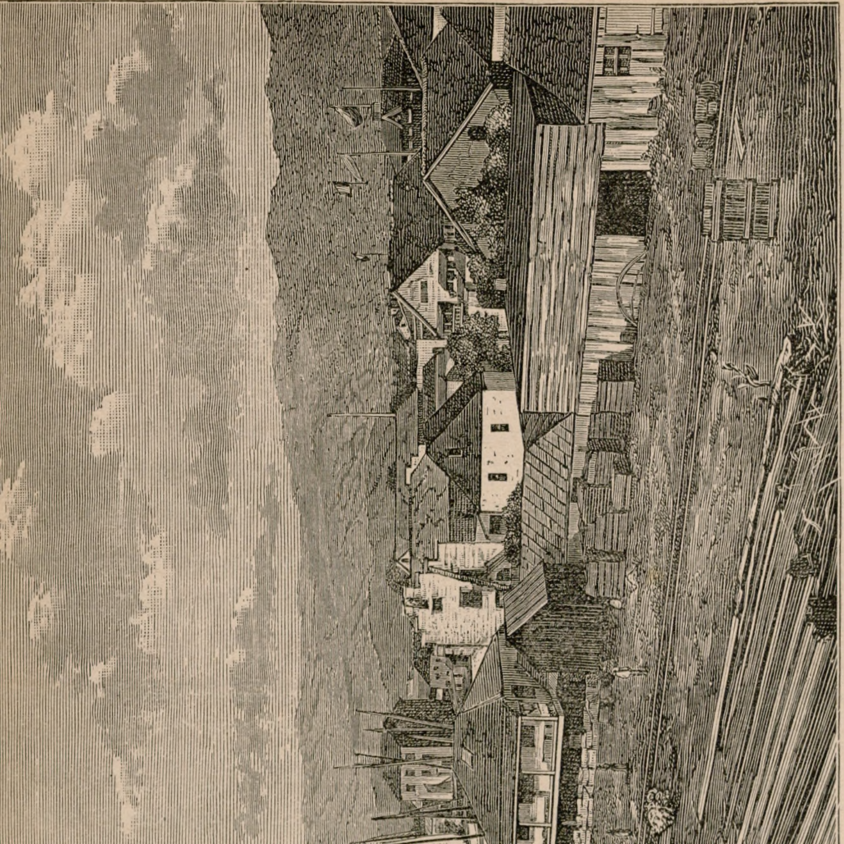
pełnianą bywała także u nich przez kapłana pogańskiego, i tak się mocno ustaliła w ich tradycyjnych zwyczajach, że dla ich zniesienia trzeba było prawa niemniej surowego, jak było to, które ją zaprowadziło.

Ktokolwiek i w jakikolwiek sposób dotknąłby się był trupa ludzkiego, uważanym bywał za nieczystego, dopóki według przyjętego obrzędu nie został oczyszczonym. Mieli także miasta, czyli raczej miejsca schronienia, otoczone wałem kamiennym, gdzie zwyciężeni albo złoczyńcy chronić się mogli i gdzie byli nietykalnymi. Cztery razy w miesiąc mieli dni świąteczne, a suma ich całoroczna po zestawieniu i porównaniu roku słonecznego i księżycowego, dawała dokładną liczbę 52 sabatów, tak, jak to było u żydów i u wielu innych narodów.

Zdaje mi się, że moglibyśmy z judaizmem powiązać także i ten sławny przepis zwany *tapu*, który tak wielką odgrywał rolę w życiu wszystkich niemal ludów Oceanii [1]). Polegał on na tem, że czyni świętemi, t. j. odłączonemi od zwykłych użytków ludzkich, a przeto nietykalnemi, pewne osoby lub rzeczy, które kapłani w imieniu bogów za takie uznali. Takie osoby lub rzeczy miały mieć pewną, większą lub mniejszą styczność z bóstwami. Tak np. ponieważ pewnikiem było u ludu sandwickiego, że kapłani i wodzowie idą w prostej linii od bogów, przeto nietylko ich osoby, ale nawet ich pomieszkanie i wszelka ich własność uchodziła za *tapu*, a to do tego stopnia, że gdyby który Kanak odważył się przejść przez ich cień lub stanąć w ich cieniu, byłby bez żadnego miłosierdzia na śmierć skazany, a nawet wtedy, gdyby mu się to bez jego woli

---

[1]) Pisząc dzieje missyi Nowej Zelandyi, wspominaliśmy o tem i wykazaliśmy, jak świętem i nietykalnem było tam każde miejsce, uchodzące za *tapu* (zob. *Missye Katolickie* z r. 1884, str. 195).



Wyspy Sandwickie. — Honolulu, stołeczne miasto wysp (str. 8).

i przypadkowo wydarzyło. Świątynie, zwierzęta służące do ofiar, kamienie lub drzewa, z których zwykle robiono bożków, rośliny używane do czarów, wszystko to było *tapu.*

Nie ulega to już najmniejszej wątpliwości, że u ludów pogańskich niewiasta uważaną bywa za niewolnicę mężczyzny, a nie za towarzyszkę. Lecz przedewszystkiem sprawdzało się to najwybitniej u ludu sandwickiego. Kobieta nie doznawała tam żadnego względu. Oddana najcięższej pracy koło domu i roli, mogła tylko najnędzniejszą żywić się strawą. Nawet żona nie mogła jeść z mężem, a pokarm dla niej musiał być osobno przyrządzony.

Jeżeli nasi Kanacy, — pisze O. Montiton, — wzięli byli liczne, jak widzimy, obrzędy religijne od żydów, to tem bardziej mieli oni właściwe pojęcie o dobrem i złem. Język hawajski posiadał nawet dosadne wyrazy do oddania cnót moralnych. Nasi Kanacy zawsze umieli oceniać swych królów, czy dobrymi byli albo złymi; a chociaż występkami i ciemnotą popsute wyobrażenia przywiodły ich do oddawania czci boskiej stworzeniom, to w zasadzie przynajmniej mieli to za pewnik, że bóstwu cześć trzeba oddawać. Do największych zbrodni liczyli złamanie przysięgi lub ślubu jakiego dobrowolnie uczynionego, i nieszczęścia, a zwłaszcza nagłą i straszną śmierć przypisywano niezachowaniu takich obietnic. Świątecznych dni owych, o których mówiliśmy, przestrzegali z taką samą, albo i większą jeszcze skrupulatnością, niż żydzi.

Miłość rodziców ku dzieciom była li tylko naturalną, nieraz mniejszą, niż ta, jaką widzimy u zwierząt, bo na dzieciobójstwo nawet uwagi nie zwracano, tak było powszechne. Dzieci ze swej strony miały pewną cześć i miłość dla rodziców i jakkolwiek mniejszą lub

większą okazywali pieczołowitość dla chorych lub cierpiących, to przecież za obowiązek sobie mieli zamknąć oczy rodzicom, choćby przyszło im biedz aż na koniec wyspy. Zabójstwo dzieci przez rodziców lub innych ludzi, przez wodzów ludu, albo kapłanów, nie było zabójstwem u nich; mieli do tego dane sobie prawo, jedni na mocy rodzicielstwa, drudzy na mocy absolutnej władzy, ostatni z przyczyny namiestnictwa bogów i pochodzenia od nich.

Kto drugiego zabił lub zranił, był wystawiony na zemstę okrutną, bo i owo żydowskie prawo zemsty *talionis* było przyjęte i praktykowane codziennie. Jeżeli strona obrażona czuła się za słabą, by módz sobie sama wymierzyć sprawiedliwość, udawała się do króla, który zazwyczaj wyznaczał jakąś nie wielką karę lub wynagrodzenie. W ten sposób przynajmniej pojęcie o złem, o wykroczeniu przeciw przyrodzonym prawom i o sprawiedliwości przechowywało się w poczuciu ludu.

Jakkolwiek bardzo skłonni do kradzieży, uznawali otwarcie Hawajczycy, że to jest rzeczą złą i zakazaną. Jeden 110-letni starzec, kiedy mu X. Joachim winszował tak długiego wieku, odparł, że to była nagroda za to, iż całe życie nikomu nic nie wziął. Stary król Kamekameka bardzo energicznie brał się do złodziei i jeżeli który dostał się w jego ręce, śmiercią był karany. — Opinija publiczna ujmowała się zawsze za człowiekiem niewinnie złupionym przez mocniejszego. Jeżeli kto umówioną zapłatę naprzód wypłacił, a ten nie chciał potem dopełnić ugody, wolno było złupić i zniszczyć jego plantacye.

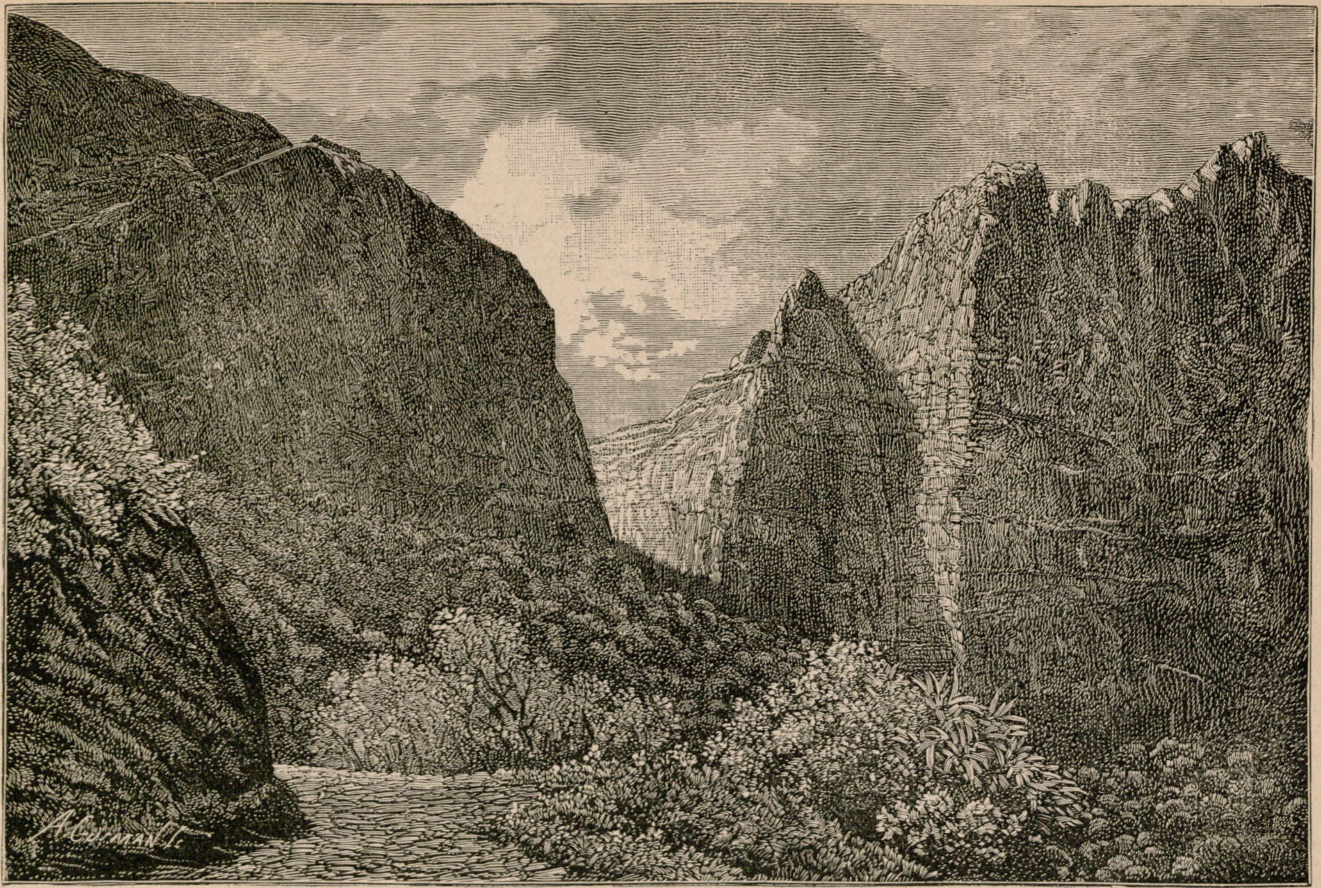
Kłamstwo, ten najzwyczajniejszy grzech naszych Kanaków, nie przestało w ustach ludu być piętnowane haniebnem imieniem *wahahe*. W pewnej starożytnej ich pieśni, zdrada również potępiona jest, jako zbrodnia,

a to w słowach tak rzewnych, że przypominają owe słowa psalmu: *Qui simul mecum dulces capiebas cibos* (któryś pospołu ze mną jadał słodkie pokarmy, Ps. 54, w. 15). Miał tę pieśń ułożyć pewien olbrzym, Kawelot z Kanai, po bitwie, w której zwyciężywszy swych wrogów, ujrzał pomiędzy schwytanymi nieprzyjaciółmi jednego ze swych przybranych synów, który długie czasy żył z nim razem, jadał i spólne odbywał wyprawy.

Wierzyli nakoniec Sandwijczycy w nieśmiertelność duszy i w życie inne po za grobem, chociaż w ich tradycyach nie można się dopatrzeć tak jasnych o tem i tak dokładnie określonych pojęć, jak u innych plemion oceańskich, tak co do nagrody dobrych, jak i kary występnych. Wiary w nieśmiertelność dowodziło: składanie czci bałwochwalczej przodkom, wywoływanie duchów, uszanowanie dla rzekomo objawiających się im nieboszczyków, wreszcie i uczciwe grzebanie umarłych.

Zwłoki umarłych układają w siedzącej postawie i zaopatrują je w pożywienie, jakby im ono było potrzebne na tamtym świecie. Naczelnikom tylko ludowym (czyli królom) właściwe były inne honory pogrzebowe. Ciała ich palono, a kości rzucano albo w morze, albo w otchłań krateru wulkanicznego.

Podobnie, jak Pomotowie (na wyspie Pomotu), przypuszczają istnienie dwóch duszy w człowieku, z których jedna pozostaje przy trupie i staje się członkiem państwa umarłych w królestwie ciemności *milu*, gdzie nie jedzą co innego, jak tylko muchy i jaszczurki; podczas gdy druga dusza, błądząc i podróżując, wspomaga lub dręczy żywych według tego, czy za dobre lub złe życie została dobrym albo złym duchem. Podchlebstwo kapłanów pogańskich wynalazło dla dusz naczelników osobne niebo po śmierci, do którego ich wprowadza *kaonohiokala*, źrenica słonecznego oka. Tam mieli oni



Wyspy Sandwickie. — Rozpadliny olbrzymich skał koło Honolulu (str. 8).

opływać w dostatki i jaśnieć potęgą, a nieraz powracać na ziemię, by na nowo zarządzać swojem królestwem.

Wbrew przeciwnemu mniemaniu niektórych pisarzy, zdaje się, że Hawajczycy nie wierzyli w metempsychozę, ale po prostu w ubóstwienie tych umarłych, których kości rzucili bogini wulkanu albo pewnym rybom morskim, które czczono jako bogów.

Mniemam, że z tego, co się powiedziało, jasno widać, że nasi dzicy pogrążeni byli w ciemnościach pogaństwa. Wszelako mniej lub więcej utkwiło w przekonaniu tych biednych wyspiarzy, że jest jakaś najwyższa istota, która dobre nagradza, a złe karze, a która wszystko stworzyła; w epoce jednak, kiedy się zetknęli z ludami cywilizowanemi, tak rozwielmożniły się między niemi namiętności i tyranija naczelników, że te cenne pozostałości duchowe zatarły się znacznie w umysłach tych ludzi. Bożyszcza, ofiary i inne ceremonije, równie okrutne jak śmieszne, rozmnożyły się prawie w nieskończoność i cały ten lud do stanu upośledzenia moralnego przywiodły.

Bóstwa, jakim cześć oddawali Hawajczycy, były bardzo liczne i bardzo rozmaite, tak dalece, że można powiedzieć, iż każdy dzień widział nowych bogów. I nic dziwnego, bo każda rzecz, która tylko przejmowała ich strachem lub wzniecała pragnienie jej lub namiętność, już bywała ubóstwioną. Różne gatunki trucizn miały swoich czcicieli, tak jak i te bóstwa, które miały być przełożone nad wojną, nad tańcem, nad porami roku, nad żniwami, wiatrami, przepaściami i niebezpiecznemi przejściami. Wszędzie stawiano potworne bożyszcza, którym składano ofiary, najczęściej z potraw, aby je sobie uczynić przychylnemi.

Jak Rzymianie dawni, tak i nasi wyspiarze, mieli domowych swych bogów, a wszystko nosiło na sobie

cechę mniejszej lub większej śmieszności, okrucieństwa lub bezecności. Każdy naczelnik miał osobny zastęp kapłanów, poświęcających się czci jego domowych bogów; szli oni za nim nawet i na wojnę, niosąc posągi bożków miasto sztandarów. Kapłan, którego pieczy powierzony był bóg narodowy, był jakoby arcykapłanem i co do władzy i powagi równy był królowi samemu, jeżeli nie wyższy.

Na wzór innych ludów mieli oni świątynie, w szczególny sposób poświęcone jakiemu bóstwu. Nazywano je *ibajo*. Zazwyczaj wznoszono je na pagórkach lub nad brzegiem morza i dawano im kształt równoległoboku; murowane z kamieni były dosyć silne.

Jedna z najbardziej godnych uwagi, a której ruiny po dziś dzień jeszcze widzimy, jest ta, którą Kamekameka I, zbudował ulubionemu swemu bóstwu Kaili, mając rozpocząć wojnę dla zdobycia innych wysp archipelagu. Świątynia ta miała 224 stóp długości, a 100 stóp szerokości. Zewnętrzne mury, pokryte ohydnemi bożkami o wszelakich najpotworniejszych kształtach (zob. rycinę na str. 25), miały 8 do 20 stóp wysokości, 12 stóp szerokości u spodu, a 2 do 6 stóp z wierzchu. Posadzka wyłożona pięknemi i wygładzonemi kamieniami, mogła służyć do przechadzki dla kapłanów i wielbicieli. Ciasna brama pomiędzy dwiema bardzo wysoko wznoszącemi się ścianami, dawała przystęp do wnętrza tej świątyni, która, podobnie jak świątynia Salomona, różne posiadała terasy, wznoszące się jedna nad drugą. W części południowej był dziedziniec, który uważano za *sancta sanctorum*, to jest za miejsce najświętsze; tam to umieszczone bywały główne bóstwa, koło których grupował się cały zastęp mniejszych bogów. W pośrodku tego dziedzińca, a naprzeciw głównego bożka stał słup wydrążony, coś na kształt jakby obelisku. Tam

wchodził kapłan, i jak Sybilla delficka odbierał i dawał mniej lub więcej niepewne i dwuznaczne odpowiedzi bóstwa, odpowiedzi zazwyczaj już naprzód podyktowane przez politykę lub kaprys króla albo którego z wielkich wodzów. U wejścia na ten dziedziniec widziałeś ołtarz całopaleń, na którym w czasie wojny, głodu lub innych jakich wyjątkowych okoliczności składano ofiary z ludzi; w zwykłych czasach zadawalniano się ofiarami ze zwierząt i owoców.

Zwyciężeni i jeńcy wojenni, gwałciciele jakiego *tapu* albo też ludzie, którzy mieli nieszczęście ściągnąć na siebie nienawiść tych oszustów świątyńnych, szli na ołtarz hekatomb. Najczęściej nie przeczuwając wcale wiszącej nad nimi strasznej burzy i oddając się swobodnie swoim zajęciom, dostawali ci ludzie cios śmiertelny. Niektórym wydzierano najprzód oczy i różne zadawano katusze. Ale kiedy kapłani boga *moa-alii*, t. j. rekina dowiedzieli się, że ich rybi bóg głód cierpi, wychodzili niespodzianie na łowy ludzkie z długą liną, a pierwszy człowiek, który wpadł w ich ręce, schwytany i pocięty w kawały, szedł na pokarm morskiego potworu. Bywało, że ukrywali się ci kapłani w krzakach wydając przytem płaczliwe jęki; kto dał się uwieść litością i zbliżył się do tej szatańskiej pułapki, padał ofiarą swej nieostrożności.

Historya opowiada, że galiccy druidowie wychodzili w pewnych porach roku na czele całego ludu, by wyszukać nowego *gui* czyli bóstwa narodowego. Podobnie robili i sandwiccy kapłani, wychodząc w uroczystych processyach na wyszukanie jakiego stosownego pnia lub kamienia, z któregoby można zrobić nowego bożka. Człowiek lub zwierze szedł zaraz na ofiarę, skoro znaleziono upragniony przedmiot. Przynoszono go do świątyni, dopełniano nad nim różnych obrzędów i odda-



Wyspy Sandwickie. — Resztki świątyni bożka Kaili w Kawalae (str. 23).

wano go rękom miejscowego artysty-partacza, aby z niego zrobił boga narodowi sandwickich wyspiarzy. Zanim jednak ten nowy bożek począł cieszyć się honorami i wonią ofiar, musiał dać jakiś dowód swej potęgi. — Jakże tego miał dokazać nowy władca sumień? Kładziono go na piasku w miejscu igrzysk publicznych. Jeżeli właściciel tego miejsca wyszedł z igrzyska zwycięzko, nowy bałwan był bardzo wielkim bogiem; — w przeciwnym razie wyrzucano go na śmieci.

Dnie poświęcone czci bogów czy to z okazyi wystawienia nowej świątyni, czy dla jakiej innej ważnej okoliczności, były dniami odpoczynku, modlitwy, skupienia ducha i najzupełniejszego milczenia. Zwierzęta błąkające się, chwytano i zamykano w odludnych miejscach; psom zakładano kagańce, a drób domowy dostawał przepaski, które nie pozwalały mu otwierać dzióba i przerywać choćby jednem pisknięciem grobowo-uroczystego milczenia dnia *tapu*. Prócz tego nie wolno było we wsi ani ognia rozpalać, ani łodzi puszczać na morze. Kobiety i tutaj, jak zresztą wszędzie, dotknięte osobliwszą klątwą, nie śmiały nigdy wejść do świątyni, a mężowie, skoro tylko mieli do czynienia z bogami i skosztowali ofiar poświęconych bogom, już nie mogli mieć żadnej styczności z kobietą jakąkolwiek, nawet ze żoną. Proste i niespodziewane choćby spotkanie się lub wymiana kilku słów była strasznem świętokradztwem i powodowała śmierć natychmiastową.

Czyż to wszystko nie przypomina surowych przepisów uszanowania świątyni i obrzędów religijnych w zakonie Mojżeszowym, uroczystego milczenia w czasie budowania świątyni i przepisów z Lewityku? I tu, jak indziej, widzimy, że czart, ten ojciec kłamstwa i duch nieczystości, usiłuje zawsze małpować Pana Boga i domagać się dla siebie czci Bożej. Na tych wyspach kazał

on się czcić pod różnemi imionami królów, królowych i znakomitych ludzi starożytności, których ludowe tradycye przypominały, oczywiście z licznemi przekręcaniami i upiększeniami według upodobania, wojny, okrucieństwa, dobre i złe skłonności.

Niektóre z tych bóstw, jak *kane*, *hu*, *hina*, są wspólne wielu innym archipelagom. *Lono* był najpopularniejszym na wyspach Sadwickich. Bożek ten, jak powiadają, by zapomnieć o domowych zmartwieniach, wsiadł na trójkątną łódź i popłynął w obce kraje z tem zapewnieniem, że znów kiedyś, ale już z chwałą i potęgą, powróci do Hawai. Po długiem i niecierpliwem wyczekiwaniu tego powrotu, zjawia się niespodzianie na wyspie Hawai kapitan Cook w r. 1779. Otóż to pewnie bóg Lono! Upojeni radością z szałem religijnym oddają cześć boską Cookowi, a cała wyspa z uniesieniem wita swego bożka i obsypuje go wraz z jego załogą przez kilka miesięcy licznemi podarunkami. Zamiast rozsądnie skorzystać z zabobonu tych biednych bałwochwalców i pouczyć ich o prawdziwym Bogu, nasz kapitan z polityki, z chciwości albo może z próżności, pozwolił sobie czynić te niegodne ubóstwiania, a nawet nie wahał się zasiąść jak bóg w świątyni pośród bożków i pozwolić na składanie sobie ofiar. Ale ręka Pana Boga, karząca zawsze takie świętokradzkie przywłaszczanie czci Bożej, nie kazała czekać na siebie. Ludność zubożona, tak dobrowolnemi, jak i przez załogę ustawicznie wymaganemi darami, bojąc się przytem wylądowania białych, zmieniła swe usposobienie. Rozpoczęły się swary, kłótnie i bójki. Wielu zginęło ofiarą swego zuchwalstwa; a kiedy i Cook sam zraniony w jednej bitce z wyspiarzami, zajęknął z boleści, zaraz jeden z naczelników spostrzegł się, że to nie musi być bóg, kiedy się dał zranić, a teraz jęczy, i ubił go na miejscu.

Taki był koniec tragiczny tego znakomitego podróżnika, którego nie przestają tutaj nazywać Lono. Jego rodacy wznieśli mu na miejscu, gdzie zginął, małą piramidę. Miało to miejsce w wielkiej zatoce nazwiskiem Kalakeakua (zob. rycinę na str. 29).

III.

Wprowadzenie chrześcijaństwa do wysp Sandwickich. — Ścieranie się katolików z protestanckimi metodystami.

Zajmujące są dzieje wprowadzenia chrześcijaństwa do archipelagu Sandwickiego i ta ciągła walka, jaką tu od roku 1830 staczać musi katolicyzm z metodyzmem.

Metodyści z Anglii wysłani wyprzedzili o czterdzieści lat katolickich missyonarzy, i już prawie byli panami wysp, gdy członkowie pobożnego zgromadzenia pod wezwaniem Najświętszych Serc Jezusa i Maryi przybyli tu w r. 1830 z ramienia Stolicy świętej głosić krajowcom prawdziwą naukę Chrystusa Pana. Dziś zapisuje statystyka na 80.000 różnorodnej ludności sandwickiej, 29.800 protestantów, a 24.200 katolików. Taki postęp wiary katolickiej tem bardziej musi każdego zadziwiać, im silniejsze korzenie zapuścił był przedtem protestantyzm na archipelagu.

Warto obeznać się nam z temi dziejami religijnych zapasów, które, mamy nadzieję, doprowadzą do zupełnego tryumfu wiary świętej na wyspach Sandwickich.

Zaledwie w r. 1778 odkrył je żeglarz angielski Cook i na cześć lorda Sandwich nazwał je jego imieniem, a już w jego ślady raz po raz biegły nowe statki



Wyspy Sandwickie. — Zatoka Kalakeakua, gdzie zamordowano kapitana Cooka (str. 28).

od brzegów Wielkiej Brytanii. Obok kupców i majtków angielskich znaleźli się i angielscy pastorowie, metodyści wysłani przez Towarzystwo biblijne, a nie mogli znaleźć lepszej sposobności do robienia swojej propagandy, nad tę, która im się sama nasuwała.

Król Kamehameha I, podbiwszy kolejno w pewnych ustępach czasu między 1784 a 1810 r. wszystkie okoliczne wyspy, i złączywszy je pod swojem berłem, chciał je jeszcze obdarzyć cywilizacyą Zachodu. W metodystach znalazł gotową pomoc i gotową nową religię. Rozpoczęte dzieło śmierć wprawdzie mu przerwała, ale syn jego Kamehameha II podjął je z tym samym zapałem i energią i udało mu się znieść w całem swojem królestwie pogaństwo. Protestantyzm stał się odtąd rządową i panującą religią, a pastorowie zostali doradcami króla.

Umarł wprawdzie Kamehameha II w r. 1824, ale królowa Tamanu, zwana także Kaahamanu, o wiele go przewyższyła, jeżeli nie na drodze cywilizacyjnego postępu, to bez wątpienia pod względem fanatyzmu, z jakiem całe państwo chciała przerobić na jeden wielki zastęp metodystów.

Posłuchajmy, co o tem mówi wcale niepodejrzany o sprzyjanie katolicyzmowi protestant Meyen, naturalista pruski, który zwiedzał wyspy Sandwickie:

»Missyonarze biblijni, — powiada, — wysłani przez Towarzystwa angielskie uwzięli się od pewnego czasu na to, by zagarnąć pod swą opiekę wyspy Spokojnego Oceanu. Bez wątpienia musieli myśleć sobie, że lepiej jest i łatwiej osiedlić się u tych świeżo odkrytych ludów, niż pomiędzy starożytnemi ludami Azyi, gdzie cała ich działalność tylko w pośmiewisko się obróciła. Przybycie kilku missyonarzy katolickich podwoiło ich ruchliwość, by zająć najważniejsze punkta Polinezyi.

Rząd angielski popiera ich w celach politycznych; mają już drukarnię, zakłady fabryczne i wpływ niezmierny. Na wyspach Przyjacielskich rząd angielski zrobił ich nawet sędziami pokoju, a poddani angielscy, którzy tam mieszkają lub wylądowują, przechodzą odrazu pod ich władzę. W Nowej Zelandyi missyonarze amerykańscy tak samo panują swoim trybem; kazali wyspiarzom cztery dni w tygodniu poświęcać religii i szkole; ponieważ zaś ci biedacy, wedle ich krajowego prawa, obowiązani są każdy piąty dzień w tygodniu pracować dla naczelników, ztąd wynika, że dla nich samych i ich rodzin zostają tylko dwa dni«.

Rzeczywiście to trochę za wiele ascezy dla nowonawróconych dzikich; ale bynajmniej nie dziwi to tych, co znają fanatyzm, pedanteryę i nierozumną a nawet wielce śmieszną przesadę metodystów co do zewnętrznych praktyk, a natomiast jałowość, płytkość i próżnię pod względem najpierwszych wymagań ludzkiego ducha. Opowiadanie nawet tego protestanckiego badacza mogłoby się zdawać zbyt jaskrawe, gdyby go inni — równie obcy katolikom — jak naprzykład rosyjski kapitan Kotzebue, nie stwierdzili:

»Skargi, — pisze dalej pan Meyen, — jakicheśmy się nasłuchali o nieznośnem jarzmie metodyzmu, mogliśmy z własnych spostrzeżeń stwierdzić jako bardzo jeszcze skromne. W rzeczywistości jest gorzej.... Doprawdy — wyznać trzeba — że ani chwała Boża, ani wzniosła gorliwość apostolska nie popchnęły tych obłudników w odległe strony Oceanii, ale raczej chęć wyniesienia się i pożerająca ich żądza zarobku.... Niektórzy z tych układnych pastorów potrafili w dwóch latach apostołowania zebrać fortunkę 150 do 225 tysięcy franków.... Że też ci obrzydliwi Kanacy nie umieją należycie ocenić wielkiego swego zaszczytu i szczęścia,

jakie im przynoszą owi życzliwi i dobroczynni missyonarze angielscy!... Tymczasem zaspokoić ich wymagań ciężką swą pracą nie mogą, ani znieść despotyzmu, który dochodzi nieraz do ostatnich granic.

»Niedawno temu, — pisze pan Meyen, — kilku missyonarzy francuzkich przybyło do Oahu. Ludzie to wielce wykształceni, a przytem skromni i prawdziwie gorliwi o dobrobyt, postęp i zbawienie tutejszego ludu, u którego koniecznie trzeba połączyć te dwa warunki doczesnego i wiecznego bytu. Król dał im pozwolenie na opowiadanie ewanielii, i wnet powszechną sobie pozyskali miłość i zaufanie ludu. A dobrze na to sobie zasłużyli już to uprzejmością, już to nieskazitelnem a budującem życiem. Prócz tego religia katolicka z natury swojej musi wręcz przeciwnie oddziaływać na charakter Kanaków, niż wyznanie metodystów, w którego świątyniach można się wyciągać i drzemać wygodnie, ale modlić się jest bardzo trudno; takie to wszystko zimne i tak mrozi i znieczula!

»Predykanci rychło spostrzegli wyłomy, jakie powstały w liczbie ich wyznawców, skoro się tylko ukazali katoliccy missyonarze. Wszystkie tedy poruszono sprężyny i wszelkich użyto zabiegów, by missyonarzom francuzkim wzbronić wszelkich zewnętrznych oznak i nabożeństw; owszem, zrobiono ich więźniami w ich własnym domu. Ale i tak byli jeszcze zanadto niebezpieczni; chciano ich koniecznie wsadzić na nasz statek i wysłać do Europy odwrotną pocztą. Nie zgodziłem się atoli na to, bo życzenie pozostania i pracowania na Bożą chwałę, jakie ożywiało tych czcigodnych a prześladowanych kapłanów, więcej znaczyło w moich oczach, niż wszelkie egoistyczne zabiegi metodystów, chciwych zysku i skorych nawet do uciskania biednego ludu, aby tylko dopiąć celu swego, wcale nieszlachetnego«.

Czasopismo angielskie z owych czasów *The family library* zamieściło w zeszycie 25 szczegóły zgodne zupełnie z tem, cośmy wyżej mówili:

»Jeden z protestanckich missyonarzy, — czytamy w tem pismie, — nazwiskiem Bingham, zapanował najzupełniej nad królową sandwicką, zwaną Tamanu, i można powiedzieć, że nie królowa, ale on rządzi krajem. Trudno odgadnąć zamiary tego człowieka, co wszystkie swe sprawy płaszczem religii pokrywa, a surowy rozciąga nadzór nad utrzymaniem nieubłaganych przepisów, jakie zaprowadził. Wszyscy mieszkańcy wyspy bez wyjątku muszą się trzymać wskazanego wymiaru modlitwy, która nie ma żadnego końca, a nawet obcy, którzy się tu osiedlili, muszą się zasłaniać maską tej wymuszonej pobożności. Ulice, dawniej tak gwarne i ruchliwe, zamarły dzisiaj nieledwie. Niektórzy z tych, co niegdyś towarzyszyli byli zmarłemu królowi do Anglii, nie chcieli z powrotem ugiąć karku pod żelazne jarzmo pastora, mówiąc, że Anglicy nie trzymają się tak surowych praktyk; ale królowa Tamanu, idąc za podszeptami Binghama i mając w swych rękach życie i śmierć upartych, zmusiła ich do uległości. Wszelki rodzaj zabawy i wesołości, skazany został na wygnanie. I tak, kiedy lord Byron, kapitan marynarki angielskiej, a komendant statku, na którym odprowadzono z Anglii zwłoki króla, przywiózł był ze sobą mnóstwo ciekawości, jak: latarnie magiczne, maryonetki i inne zabawy optyczne i gotował się już do pokazania ich ludowi, nadszedł kategoryczny zakaz Binghama z tym dodatkiem, że chrześcijanom bojącym się Boga nie przystoją bynajmniej takie próżne rozrywki. Lord Byron, nie chcąc dysputować z takim fanatykiem, musiał wyrzec się poczciwych swych zamiarów«.

»Kiedy lud z natury tak wesoły i żywy, — dodaje

wyżwspomniany dziennik, — tak łatwo i bez szemrania daje się powodować najdziwaczniejszym nawet przepisom, czegóżby zeń nie zrobiła prawdziwie chrześcijańska cywilizacya! Tymczasem robią zeń gwałtem naród obłudników!«

Oto zdanie samych protestantów o działalności missyonarzy biblijnych, na których rozmaite towarzystwa londyńskie miliony wydają. Niezadługo zobaczymy, jak powierzchowne były skutki tej pseudo-chrześcijańskiej pracy i jak niewiele potrzeba na to, żeby się w puch rozbiło, co bez prawdziwych podstaw zbudowano.

Wcale inaczej ma się rzecz z katolickiemi missyami. Ponieważ tu całe nawrócenie opiera się na dokładnej znajomości nauki Chrystusowej, trafiającej do serca i przekonania, a nie na zewnętrznych i przymusowych nabożeństwach, katolicy posiadali żywą wiarę, którą nad życie ukochali. Pokazało się to zaraz w czasie pierwszego prześladowania, przeciw nim i ich missyonarzom wymierzonego. Dzieje tego prześladowania pragniemy tu skreślić przynajmniej w krótkim zarysie.

Tym, którzy nie pomną na to, że dzieła Boże różnią się zupełnie od dzieł ludzkich, założenie missyi katolickiej na wyspach Sandwickich wydawało się niemożliwem. Był to bowiem plan ułożony od początku przez ministrów protestanckich, którzy się w r. 1820 stale już osiedlili na tych wyspach, ażeby nie dozwolić nigdy katolikom osiąść w tych miejscach, które oni już uważali za swoje dziedzictwo.

Tymczasem w ukryciu sposobił się we Francyi dzielny zastęp apostolskich pracowników, którzy, za sprawą miłosiernej Opatrzności Bożej, mieli się podjąć trudnego dzieła rozkrzewiania wiary w Oceanii, a przedewszystkiem na wyspach Sandwickich.

Gdy z końcem przeszłego stulecia rewolucya francuzka wypowiedziała Bogu i Kościołowi jego wojnę, pewien gorliwy kapłan, X. Coudrin, mieszkający w Poitiers, przemyśliwał nad tem, jakby przyjść w pomoc uciśnionym katolikom we Francyi albo niewiernym w krajach zamorskich. Udzielił swej myśli kilku młodym, równie jak on gorliwym kapłanom, a ci przyjęli ją chętnie. Mając już cel wytknięty, udali się razem do Paryża w r. 1805, i zamieszkawszy w domku na ulicy Pic-pus (która później miała swą nazwę nadać ich zgromadzeniu), oddawali się najprzód wychowaniu młodzieży i zwykłym obowiązkom kapłańskim, w oczekiwaniu chwili, kiedyby się Bogu spodobało użyć ich sił w zawodzie missyjnym.

W lipcu 1814 r. jeden z członków nowego zgromadzenia udał się do Rzymu i przedstawił Piusowi VII zamiary i plany ich przewodnika, X. Coudrin. Namiestnik Chrystusowy przyjął chętnie i pochwalił ich zamysły, a udzieliwszy im błogosławieństwa swego, zachęcił ich, aby pod przewodnictwem X. Coudrin ułożyli dla swego zgromadzenia pewne stałe ustawy i takowe mu do przejrzenia i zatwierdzenia przedłożyli. Dnia 17 listopada tenże papież zatwierdził osobną bulą to nowe zgromadzenie missyonarzy pod wezwaniem Najśw. Serc Jezusa i Maryi. Po odbytym nowicyacie to czcigodne grono apostolskich mężów sposobiło się jeszcze przez kilka lat do przyszłego zawodu w nauce i pobożności, a tymczasem rosło także i w liczbę.

W r. 1825 przystąpili do dzieła. Papież Leon XII wyznaczył im wyspy Sandwickie jako pierwsze i główne pole ich działalności missyjnej. Pole to miało być dla nich wkrótce znacznie rozszerzone; albowiem już w r. 1833 dekret Kongregacyi Propagandy, zatwierdzony przez Grzegorza XVI rozciągnął ich prace na całą

Oceaniję, dopóki nowe zgromadzenie OO. Marystów nie objęło z woli tegoż papieża wielkiego udziału w oznaczonej mu części tej obszernej winnicy Pańskiej.

Od r. 1827 widzimy chlubne dzieje missyonarzy Najśw. Serc Jezusa i Maryi, połączone najściślej z losami mieszkańców wysp Sandwickich. W tymże roku przybyli tamże pierwsi członkowie tegoż zgromadzenia, a mianowicie O. Aleksy Bachelot, mianowany prefektem apostolskim wysp Sandwickich, OO. Armand Chausson i Patryk Short, tudzież Bracia zakonni: Melchior Bondu, Teodor Boissier i Leonard Portal.

Pierwsze początki ich apostolskiej pracy były tu nadzwyczaj trudne, ale i wielce zbawienne. Zaledwie przybyli do Honolulu, musieli odrazu stanąć do walki z groźną i potężną falangą przeciwników, którzy najsroższe przeciwko nim wzniecili prześladowanie. Mimo to dzielni missyonarze utrzymali się tam trzy lata i nawrócili znaczną liczbę krajowców, którzy się odznaczali szczerą pobożnością i wytrwałością w wypełnianiu obowiązków wiary, a do swoich Ojców duchownych całem sercem przylgnęli. Ponieważ walka z rozpanoszonem stronnictwem była dla nich zbyt nierówną, przewidywali, że ich wkrótce może spotkać albo śmierć męczeńska, albo wygnanie. Chcąc przeto ugruntować neofitów swoich w znajomości głównych nauk wiary świętej i zostawić im na przyszłość środek nauczania drugich w razie nieobecności missyonarzy, dołożyli wszelkich starań, aby jak najprędzej skreślić w języku sandwickim dokładny katechizm. Praca to była niemała; musieli sobie bowiem dopiero mozolnie przyswajać ten język; atoli przy pomocy niektórych rozumniejszych krajowców, doszli do pożądanego celu, i wydali sporą książeczkę pod tytułem: *Wykład nauki chrześcijańskiej*.

Wydanie tego katechizmu było opatrznościowym

prawdziwie wypadkiem dla missyi Sandwickiej. Sprawdziły się bowiem smutne przewidywania missyonarzy. Metodyści widząc wzmagającą się coraz bardziej liczbę katolików, widząc oraz, że wszelkie ich zabiegi i środki surowości nie tylko nie zniechęcały tychże, ale raczej zaostrzały ich gorliwość w wyznawaniu swej wiary, postanowili użyć gwałtu i przemocą pozbyć się missyonarzy. Skoroby tego dokazali, spodziewali się, że łatwo im przyjdzie zwykłemi środkami katolików przyciągnąć do swojej nauki.

Jakoż dnia 24 grudnia 1831 r. zaopatrzeni dekretem królewskim i siłą zbrojną, przybyli do ubogiego mieszkania missyonarzy, zabrali im wszelkie mienie i wywieźli ich na wybrzeże Kalifornii. Tam wyrzucili ich na pustkowie, pozbawionych wszelkiej żywności i wszelkich środków do życia. Na szczęście missya franciszkańska pod wezwaniem św. Gabryela, istniejąca w niewielkiej od wybrzeża odległości stała się dla nich ratunkiem i pożądanym przytułkiem.

Wygnani przemocą ze swej missyi, nie opuścili jej jednak, utrzymywali miłe stosunki z gorliwymi neofitami, pozostałymi na wyspach, między którymi byli i tacy, co do nich podróż odbywali, aby zasięgnąć ich rady w sprawie utrzymania katolickiej wiary, surowo przez rząd wzbronionej.

Do utrzymania tejże wiary przyczynił się najbardziej Brat Melchior. Gdy missyonarzy wywożono na brzegi Ameryki, on przebrany za robotnika potrafił ukryć się i pozostał w kraju dla opieki, rady i nauki chrześcijan. Był on w zastępstwie kapłanów przewodnikiem i zarządcą opuszczonej przez nich, ale utrzymującej się stale missyi katolickiej i doznawał powszechnego wiernych uszanowania i posłuszeństwa. Missyonarze przysłali mu później do pomocy dwóch innych

Braci zakonnych, Leonarda i Kolumbana. Ten ostatni wsławił się już był na wyspach Gambier, gdzie sprytem i zręcznością we wszystkich rzemiosłach zdumiewał i przyciągał pogan, a dziełu missyjnemu nieobliczone oddał usługi.

Wydany przez O. Bachelot'a katechizm, stał się w tych czasach prawdziwym talizmanem dla katolików sandwickich i najdroższym ich klejnotem. Wydzierano go sobie, uczono się go na pamięć, a matki wykładały go dzieciom. Protestanci nie mogli się nadziwić, jak ta nauka, i prosta i wzniosła zarazem, chwytała za serce.

Poniekąd sami katolicy spełniali teraz zadanie missyonarzy. Koło niektórych katechistów gromadzili się i protestanci i poganie, pociągnięci przykładem bogobojnego życia katolickiego i ożywieni żądzą nauki św. Dziatkom pospolicie udzielano chrztu świętego; udzielano go także i umierającym poganom na ich wyraźne żądanie. Niejedna matka poganka nie miała nic pilniejszego do zrobienia z nowonarodzoną dzieciną, jak zanieść ją katechiście, albo jakiej gorliwej chrześcijance, aby jej chrztu udzielono.

Jakaż to była pociecha dla missyonarzy, wywiezionych do Kalifornii, kiedy im z wysp Sandwickich nadchodzące okręty przywoziły tak pomyślne wiadomości! Nie brakło i smutku na wieść o wybuchu srogiego prześladowania, wymierzonego przeciw wiernej gromadce katolików sandwickich, ale wzorowa ich wytrwałość i ten smutek zamieniła w pociechę.

Metodyści postanowili przemocą stłumić katolicyzm na wyspie Oahu. Jakoż poczęli ścigać i więzić katolików, a uwięzionych zmuszać do wyparcia się swojej wiary. Nic atoli nie pomogły intrygi, znęcania się i skazywania katolików do ciężkich robót. Silniejszą od tego wszystkiego była stałość wyznawców Chrystusowych,

którzy śmiało mówili metodystom, że mogą ciało dręczyć a nawet i zabić, ale duszy ani zabić ani od Boga oderwać nie potrafią. Niewiasty zwłaszcza okazały się w tym względzie prawdziwemi bohaterkami, i można powiedzieć, że one przeważyły szalę zwycięztwa. Wogóle spokojne a śmiałe wystąpienie katolików, nieposuwających się do żadnych gwałtów, ale gwałtom siłę woli i przekonania przeciwstawiających, stępiło ostrze prześladowców i rozbroiło ich z czasem. Stałość tych prostaczków, opuszczonych od całego świata i prześladowanych ze szatańską nieraz złością, wzbudzała podziw nawet u wrogów; bezstronnych zaś i trzeźwo patrzących na to krajowców, zdawała się całemi masami pchać w objęcia katolickiego kościoła, z którego płynie tak cudowa siła i pociecha w cierpieniach.

W r. 1833 umarła królowa Tamanu, a na tron wstąpił po niej młody Kamehameha III, brat zmarłego Kamehamehy II. Ten, lubo się zdawało, że chciał zrzucić ze siebie opiekę panów pastorów, nie naruszył jednak z początku istniejącego porządku rzeczy i zatrzymał metodystowski rygoryzm. Tak więc użycie wszelkich napojów spirytusowych, wszelkie gry i zabawy, wreszcie i tytoń, ta połowa życia wyspiarzy, pozostały, jak dawniej, wzbronione.

Wnet atoli zarysowały się dwa odrębne stronnictwa, i to obydwa rządowe: jedno stojące po stronie króla, drugie po stronie jego dawnej guwernantki Kinau, czerpiącej cały swój zasób wiedzy i natchnienia u metodystów. W tej walce stronniczej zwyciężył król. Bo skoro tylko dekretem swoim przywrócił gry i zabawy, pozwolił na używanie trunków i tytoniu, i zniósł obowiązek uczęszczania do zborów i szkół protestanckich, runęła naraz cała prawie powaga i potęga dawnych samowładców. Ludność, wychowana pod prawem

bezdusznego i znienawidzonego przymusu, rzuciła się namiętnie do długo zakazywanego owocu, nie zachowując w użyciu jego należytej miary. Obszerne kościoły protestanckie, przedtem zawsze pełne, teraz stały prawie zawsze pustką, a przemówienia pastorów żadnego już nie robiły wrażenia. Okazało się przytem, że znacznie większa część krajowców nie miała żadnego przywiązania do swoich protestanckich pastorów, i że ich tylko słuchali z bojaźni. Inaczej rzecz się miała z katolikami, którzy działali z przekonania. Wprawdzie w tych czasach pewnego rozluźnienia obyczajów i u nich czuć się dawał nieco brak missyonarzy i niektórzy ostygli trochę w pobożności. Atoli przeważnie utrzymał się duch karności i wytrwałości w obowiązkach religijnych. I tak, pewien katechista tak pisał 14 listopada 1834 roku:

»Niektórzy z naszych biednych chrześcijan zostawiają nam nieco do życzenia, ale większa ich część trzyma się dobrze i odznacza się wzorowem zachowaniem. Neofici o kilka mil oddaleni, przychodzą do mnie, aby się dowiedzieć o przypadających postach i uroczystościach świątecznych, które obchodzą z budującą regularnością«.

Niedługo trwał spokój, jaki zostawiono katolikom. Król zmienny i różnym wrażeniom i wpływom podległy, dał się znowu przez metodystów do dręczenia katolików nakłonić, i wydał dekret wzbraniający wyznawania wiary katolickiej, a niedopuszczania do brzegów żadnego missyonarza rzymskiego. Znęcano się znowu najokropniej nad biednymi katolikami, wleczono ich gwałtem do zborów, zmuszano do robót ciężkich, więziono i głodzono, a najbardziej tych, którzy przeważny wpływ wywierali na innych. Atoli nienawiść i zawziętość sekciarzy jeszcze bardziej umacniała katolików w swej wierze i pomnażała ich liczbę. Nie tylko poganie, ale



Typy dzisiejszych chrześcijan sandwickich.

nawet niektórzy z krajowców, ochrzczeni przez metodystów i ich wiarę dotąd wyznający, prosili o chrzest katolicki i do katolików się przyłączali.

Gdy tak neofici sandwiccy wystawieni byli na ciężkie próby, bolał niezmiernie nad tem O. Bachelot, że nie mógł do nich przybyć. Chociaż w Kalifornii robił wiele dobrego, wspierając missyonarzy franciszkańskich, uważał się jednak ciągle za wygnańca i z upragnieniem wyczekiwał tej chwili, w którejby mógł popłynąć do wysp Sandwickich. Wreszcie zachęcony przez Grzegorza XVI, postanowił, mimo wszelkich niebezpieczeństw, jakie mu groziły, dostać się do swojej gromadki wiernych. Jakoż po długiem wyczekiwaniu dogodnej sposobności, wsiadł razem z O. Short dnia 28 marca 1837 r. na statek »Klementyna« i po dwudziestodniowej podróży zawinął do portu Honolulu. Jeżeli można było przewidywać burzę, to najbardziej ze strony ministra Binghama, metodysty i największego wroga katolików, tudzież ze strony naczelnika Kuanaoa, męża wzmiankowanej guwernantki królewskiej Kinau. Sprawdziły się też te przewidywania. Zaledwie missyonarze przybyli do dawnego schroniska swego missyjnego, zjawili się zaraz wysłańcy tychże przed nimi z rozkazem natychmiastowego wyjazdu. Na nic się nie zdały przedstawienia i prośby. Wsadzono obu księży do łódki i pod grozą armat fortecznych, skierowanych w okręt, zmuszono właściciela okrętu i kapitana do zabrania missyonarzy na pokład.

Na razie nie było innej rady, jak ustąpić wobec przymusu i wezwać przytomnych za świadków dokonanego gwałtu; ale właśnie ten gwałt, popełniony na poddanym francuzkim i angielskim, stał się prawdziwem dobrodziejstwem dla sprawy katolickiej. Nie tylko konsul francuzki, ale także angielski i amerykański, uznali

w tem postępowaniu rządu sandwickiego pogwałcenie nietykalności poddanych dworów obcych. Ztąd już w lipcu tegoż roku (1837) zjawiły się statki z obu wydalonymi missyonarzami, a oraz z przedstawicielami francuzkiego i angielskiego rządu. Ci podnosząc w imieniu swych dworów uroczysty protest przeciwko bezprawiu, zmusili rząd sandwicki do przyjęcia missyonarzy i zniesienia wszelkich praw, przeciwnych osiedleniu się ich na wyspach.

Nie dosyć na tem. Gdy następnie jeszcze metodyści jątrzyli ciągle króla przeciw katolickim księżom, i mnogie tymże stawiali przeszkody w działalności ich missyjnej, Francya ujmując się za nimi, jakoteż i za ich neofitami, wysłała ponownie swego reprezentanta i wymogła z końcem 1839 r. na rządzie sandwickim traktat następującej osnowy:

1⁰ Wiarę katolicką będzie można odtąd swobodnie wyznawać w całem państwie króla Kamehamehy III i jego następców, a jej wyznawcy używać będą wszelkich praw i przywilejów, jakie przysługują innym wyznaniom.

2⁰ W Honolulu, do którego portu przybywa wielu Francuzów, rząd odda kawał ziemi pod budowę kościoła katolickiego.

3⁰ Wszyscy katolicy więzieni dotąd lub do ciężkich robót za swą wiarę zmuszani, mają być natychmiast na wolność puszczeni.

4⁰ Król da i podpisze uroczyste zapewnienie, że ugody wiernie dotrzyma.

Czcigodny i ukochany zwierzchnik missyi sandwickiej, X. biskup Bachelot, nie doczekał się tego szczęśliwego kresu swoich zabiegów. Nim jeszcze traktat przyszedł do skutku, Bóg powołał wiernego sługę swego, aby mu oddać koronę wiecznej nagrody za tyle ofiar,

prac, cierpień i trudów, poniesionych w tem życiu dla chwały Bożej.

Dnia 14 maja 1840 r. przybył biskup Rouchouse do Honolulu w towarzystwie Ojców Maigret, Armand i Columban. O. Arseniusz Walsh i wicekonsul francuzki wyszli na jego spotkanie z gromadką trzystu katolików i odprowadzili go uroczyście do kaplicy missyjnej, gdzie biskup odśpiewał *Te Deum* i udzielił błogosławieństwa wiernym. Niepodobna opisać tej radości, jaka panowała w tej nielicznej jeszcze ale najlepiej usposobionej trzódce wiernych. Po tylu cierpieniach i katuszach, po tylu latach sieroctwa, doczekali się wreszcie pasterza swego. Z radością ukazywali mu swoje blizny, jakie pozostały jeszcze na ich członkach z tych mnogich mąk, jakie za wiarę ponosić musieli. Wspomnienia przeszłości pełnej zasług pomnażały jeszcze obecną ich radość.

W sobotę przed Zielonemi Świątkami ochrzcił biskup 200 katechumenów; po upływie miesiąca ochrzcił ich drugie tyle ku wielkiemu niezadowoleniu metodystów. Kaplica już nie wystarczała. Wziął się też zaraz biskup do budowy obszerniejszego i potrzebom missyi odpowiedniego kościoła.

Nie tylko w Honolulu byli katolicy w znaczniejszej liczbie. Istniały też gromadki wiernych po różnych miejscowościach archipelagu, a wszędzie wiadomość o powrocie biskupa i missyonarzy sprawiła im wielką radość, tembardziej, że mieli już znaczną liczbę katechumenów, których katechiści swojscy starannie wyuczyli i do chrztu przygotowali. Było też to dla katolickich rodzin wielką pociechą, że mogli nowemu pasterzowi swemu ukazać ten piękny owoc gorliwości swojej.

Wkrótce rozpoczęła się na piękne praca missyjna na wyspach Sandwickich. Przybyło jeszcze do pomocy

trzech Ojców: Denys, Jan Martial i Barnaba Castan, tudzież dwóch braci Juste i Callixte, przez co wzmogły się znacznie siły missyjne. Atoli w r. 1842 ciężkiego smutku doznała missya, gdy biskup Rouchouse w podróży swojej utonął podczas rozbicia statku około przylądka Cap-Hoorn. Jako następca jego mianowany został wikaryuszem apostolskim O. Ludwik Maigret, jeden z jego spółpracowników. I ten, równie jak poprzednicy jego, rozwinął nadzwyczajną gorliwość około zbawczego dzieła missyi.

Bardzo wielu kalwinistów i metodystów przechodziło na katolicką wiarę. Metodyści, nie poprzestając na groźbach i potwarzach, przeciw nim wymierzonych, używali też i pieniężnych środków, ofiarując im znaczne sumy, jeżeliby do nich wrócili. Ale oni dary te ze wstrętem odrzucali od siebie, mówiąc, że nie łakomią się na dobra tego świata, ale pragną zbawienia duszy swojej.

Heretycy widząc takie postępy katolicyzmu rozpoczęli znowu walkę na zabój z katolikami, a wszelkie swe siły wytężyli teraz przeciw szkołom katolickim. Missyonarze bowiem potworzyli sobie i utrzymywali bardzo wiele szkółek prywatnych, powierzali w nich prace swoim Braciom zakonnym albo i świeckim katechistom, a sami dźwigali także chętnie ciężar nauczycielski. Metodyści lękając się tych szkół bardziej, niż wszelkich innych środków missyjnych, użyli wszystkiego wpływu swojego u króla, aby tenże nowem prawem ograniczył swobodę nauczania. Tak się też stało. Zobowiązano wszystkie dzieci katolickie uczęszczać do szkół rządowych, kazano im płacić raty szkolne, a w razie nieposłuszeństwa przepisom, nieposłuszeństwa, które było zbyt częstem a prawie zwyczajnem, wtrącano dzieci do więzienia. Missyonarzom zaprzeczano prawa

nauczania dzieci i żądano od nich, aby naukę swą ograniczali tylko na osoby wieku dojrzałego. W wielu miejscach przemocą zabrali im dzieci ze szkoły missyjnej i umieścili w rządowej. Nastały znowu czasy srogiego ucisku.

X. Ludwik Maigret, wikaryusz apostolski, tak nam kreśli dalsze losy missyi sandwickiej:

»Początki nasze nie wróżyły wielkich nadziei. Nie znaliśmy jeszcze języka, było nas tylko kilku bardzo ubogich, bez książek, bez szkół, bez kościołów, bez stałej opieki, bez wszelkiego sposobu do życia. Co więcej, krajowcom przyswoili metodyści największą pogardę dla Francyi, ojczyzny naszej. Według ich nauki szkolnej, według ich gazet i rozmów prywatnych, Francya jest nędznem królestwem, zamieszkałem przez lud barbarzyński i leniwy, gdzie wszędzie napotkasz nędzę w łachmanach, na co tylko okiem rzucisz. Nic tu nie przesadzam, ale przytaczam dosłownie to, co wyczytałem w jednem pismie krajowem, przez nich wydawanem. Nie dosyć na tem. Naszą religię przedstawiono temu ludowi w najczarniejszych kolorach:

»Jest to religia bałwochwalcza, — pisano, — re»ligia krwi, hańby i zbrodni, religia wreszcie, której »głową jest smok apokalipsy z siedmiu paszczami i dzie»sięciu rogami«.

»Rzekome okropności katolicyzmu były zwyczajnym przedmiotem protestanckich kazań. Uchodziliśmy więc w oczach krajowców za najpodlejsze, najniegodziwsze istoty na świecie. Gdyśmy przybyli do wysp Sandwickich, mimo traktatu zapewniającego nam wolny pobyt tamże, krajowcy na nasz widok nie mogli pohamować swego gniewu i w zbyt rażący sposób objawiali nam swoje niezadowolenie. Wszędzie byliśmy wystawieni na najdokuczliwsze obelgi; w pismach i rozmo-

wach publicznych wołano nieustannie: »Precz z papiezmem na wyspach Sandwickich! Wojna na zabój zwolennikom Antychrysta!«

»Takie publiczne obelgi przeraziły chrześcijan, a sami nasi przyjaciele zdawali się być już gotowymi do zaniechania obrony naszej sprawy missyjnej. Nieprzyjaciele nasi odnosili wszędzie zwycięztwo. Nas zaś najwięcej to trapiło, żeśmy widzieli, jak im wszystko łatwo przychodziło, jak mieli wszelkie środki po swojej myśli: zakłady po różnych miejscowościach archipelagu, szkoły, świątynie, kilka drukarń ciągle zatrudnionych, książki, dzienniki, pomoc rządu, który nic nie czynił bez nich, i obfite zasiłki pieniężne, przybywające im od towarzystw angielskich. To też mimo traktatu z Francyą zawartego i mimo przybycia naszego uważali oni zniesienie katolicyzmu na wyspach Sandwickich, jako rzecz niechybną.

»Tymczasem pomylili się bardzo, a niecne ich nadzieje zawiodły ich najzupełniej. Skorośmy się osiedlili w naszej dawnej ubożuchnej stacyi missyjnej, zgromadziliśmy koło siebie niektórych chrześcijan, ochrzczonych przez dawniejszych missyonarzy, i poświęciliśmy tej małej gromadce szczególniejszą troskę. Ich liczba wkrótce zaczęła wzrastać, a po upływie roku mieliśmy ich już 2328. Tak prędki rozrost katolicyzmu w mieście Honolulu zrobił ogromne wrażenie, prawda wyszła na wierzch, a postępy jej były bardzo szybkie. Postępy katolickiej naszej missyi dadzą się łatwo ocenić przez same nasze dzieła budowy. Rok drugi upłynął, a już mogliśmy myśleć o budowie kościoła w stolicy. Kościół ten stanął rzeczywiście 15 sierpnia 1843 r., i w tymże dniu poświęciliśmy go uroczyście pod wezwaniem Najś. Maryi Panny wobec tłumów chrześcijan, zgromadzonych licznie z różnych obwodów wyspy. Dnia 8 maja

1844 r. poświęciliśmy znowu naszą kaplicę w Honolulu, a w styczniu 1845 r. kaplicę w Mokapou. Następnie zaczęliśmy pracować około naszej szkoły głównej, którą po dwa razy budowaliśmy. Dnia 7 czerwca 1849 roku odprawiliśmy pierwszą mszę świętą w naszej kaplicy w Malawa, o 3 mile od Honolulu. Dnia 8 czerwca 1851 r. poświęciliśmy znowu nasz piękny kościół w Kailua na wyspie Hawai; w rok potem mieliśmy już gotowy kościół św. Anny w Hujea, gdzieśmy 10 czerwca 1852 r. pierwsze nabożeństwo odprawili. Co rok przybywał nam kościół albo przynajmniej kaplica. Dnia 8 maja 1853 r. poświęciliśmy znowu kościół w Wajdua, a 18 grudnia 1854 r. kościół św. Szczepana w Moloaa na wyspie Kauai; dnia 25 lutego tegoż roku kościół św. Antoniego w Wailuku na wyspie Maui; dnia 8 grudnia 1855 r. kościół Niepokalanego Poczęcia, a wreszcie na rok przyszły (1857) będziemy jeszcze mieli do poświęcenia kościół św. Rafała w Kailua na wyspie Kauai«.

»Tyle X. biskup Maigret w liście pisanym w r. 1856. Rzeczywiście liczba tych rozmaitych kościołów, zbudowanych na różnych punktach wysp Sandwickich, daje nam najlepszą miarę do ocenienia rozrostu katolicyzmu na tych wyspach, bo gdyby w tych różnych miejscowościach nie była znaczna liczba wiernych, nie budowanoby daremnie kosciołów. Mamy zresztą w sprawozdaniach z r. 1856 dokładnie oznaczoną liczbę katolików sandwickich, to jest było ich wtedy już przeszło 28.000.

Nie tylko sama wiara katolicka miała wielki pociąg dla krajowców, odznaczających się szczególną prostotą i dobrą wolą w szukaniu prawdy; ale dziwnie korzystnie wpływała na nich łagodność i ujmująca dobroć missyonarzy, którzy w postępowaniu swojem nie mieli nic z onej wyniosłości, szorstkości, a poniekąd



Kościół i pomieszkanie O. Damiana pomiędzy trędowatymi w Molokai (str. 58).

odpychającej gwałtowności metodystów, którzy nie umieli sobie nigdy zjednać serca, a naukę i urządzenia swoje postrachem tylko i użyciem władzy zaprowadzali. Można powiedzieć, że metodyści sami wbrew woli swojej ogromnie się przyczyniali do nawracania się krajowców na wiarę katolicką. Widząc rosnącą liczbę katolików, mimo wszelkich przeszkód, jakie im stawiali, nie mogli sobie tego zjawiska wytłumaczyć. Upokorzeni, nie przestali jednak pałać nienawiścią do swoich przeciwników i wywierać na nich wszelkiej możliwej zemsty. Nawet wtedy, kiedy się im chcieli okazać łagodnymi dla pewnych celów swoich, nie zaniechali czynić w ukryciu różnych nieprzyjaznych przeciwko nim kroków.

Największego ucisku doznawali katolicy w zakresie szkolnym. Nie tylko bowiem obowiązani byli posyłać dzieci do szkół publicznych, zupełnie bezwyznaniowych, a w gruncie Kościołowi katolickiemu niechętnych, ale musieli jeszcze na te wrogie sobie szkoły opłacać wielkie raty. To napełniało największą obawą X. biskupa Maigret, który tak pisał w jednym z listów swoich:

»Jak długo nasi rodzice katoliccy będą musieli opłacać raty szkolne, a nie będą mieli prawa powierzać wychowania swych dziatek nauczycielom własnego wyboru, sumienie ich nie będzie spokojnem. Jeden tylko widzimy dla nich środek zbawienia, a tym jest prawdziwe wychowanie chrześcijańskie w niezależnych od rządu szkołach. Gdyby nasi neofici byli bogaci, łatwoby nam było jakkolwiek zaradzić temu złemu przez zakładanie naszych szkółek prywatnych. Mamy nadzieję, że nas w tem ważnem dziele wesprze Towarzystwo rozkrzewiania wiary«.

Rzeczywiście to czcigodne Towarzystwo spełniło życzenia i słuszne nadzieje missyi sandwickiej. Bezpo-

średnio po napisaniu tego listu otrzymał od niego X. biskup Maigret w r. 1856 sumę 50.333 franków; w rok później otrzymał 50.433 franków. A dobrze użył tych pieniędzy. W Halawie stanął wnet piękny kościółek pod wezwaniem św. Patrycego, a cała ludność: krajowcy, Portugalczycy, Irlandczycy a nawet protestanccy malarze, z których jeden ma katoliczkę za żonę, ubiegali się jak o łaskę o to, by mogli czy groszem, czy pracą i artystycznym talentem, czy też różnemi przyborami kościelnėmi przyczynić się do upiększenia tej nowej siedziby Utajonego Jezusa.

Równocześnie powstawał kościół na północno-wschodniej stronie wyspy Maui, w dolinie Wajluanui, pod wezwaniem św. Gabryela Archanioła. Prócz tego trzy inne kościółki rozpoczęto budować, a mianowicie: w Hilo, Kipahulu i Kupo. Ten ostatni niezawodnie najmilszy i najdroższy będzie Boskiemu Zbawicielowi, bo tu się najwięcej miłości nań złożyło. Woda była bardzo daleko a piasek jeszcze dalej: jak je sprowadzać ustawicznie i w takiej wielkiej ilości?... Nasi katolicy zaraz znaleźli sposób; na własnych barkach z iście heroicznym wysiłkiem, jęli dźwigać takie ciężary, pod jakiemi i konie dobrzeby się utrudzić musiały.

Atoli nie na samem budowaniu kościołów ograniczyła się działalność missyonarzy i postęp katolicyzmu. Pomiędzy katolikami cudzoziemcami zawiązała się liga nader pożyteczna pod nazwą Stowarzyszenia katolickiego, a za cel postawiła sobie wspieranie sprawy katolickiej zbieraniem składek pieniężnych wedle sił i możności. Są to najlepsi i najgorliwsi z katolików miasta Honolulu i okolicy a ludzie wszelkiej narodowości: Anglicy, Amerykanie, Irlandczycy, Niemcy, Francuzi, Włosi, Hiszpanie, Portugalczycy, Grecy i t. d. Zeszłego roku zebrali już kwotę 3000 franków, co jest

wiele, gdy się zważy, że ich jest dopiero około pięćdziesięciu. Za te pieniądze Siostry ze Zgromadzenia Najśw. Serc bardzo już wiele łez otarły i dużo dziatek zgromadziły w swojej ochronie.

Nadszedł rok 1862. Anglikanie i amerykańscy Metodyści, lubo nam nieprzyjaźni, zdali się nieco mniej myśleć o walce z nami, bo między sobą ucierać się i rywalizować musieli. Mimo zabiegów amerykańskich, namówili króla Anglicy, by od królowej angielskiej Wiktoryi zażądał biskupa dla swego kraju. Biedni krajowcy!

Za to inną dał im Bóg łaskę. Oto po raz pierwszy od r. 1842 wolno było katolikom urządzić na tej dalekiej ziemi pogańskiej uroczystą processyę Bożego Ciała. Śliczne to było święto; był to tryumfalny pochód katolicyzmu, a zarówno świetnie obchodziła go stolica Honolulu jak i Lahaina. Władza polityczna nietylko się nam nie sprzeciwiała tym razem, ale z pewną dumą patrzyła na to, jako na dowód zaufania, jakie w niej katolicy położyli, a tłumy ludu, tak protestantów jak pogan, cisnęły się z nieopisaną ciekawością, by się napaść tym prześlicznym widokiem, jakiego dotychczas nie mogli oglądać. Szedł tedy znowu Jezus wśród tłumów — jak niegdyś za życia na ziemi — i znowu cisnęli się dokoła Zacheusze, do których domu i serca On tak bardzo dostać się pragnie. Nie było tam przepychu i wystawności, jaka zaszczyt przynosi miastom Europy: ale przecież i Sandwicze potrafiły się zdobyć na uczczenie Swego kochanego Zbawcy.

X. Biskup Maigret postępował pod jedwabnym a szkarłatnym baldachimem, przystrojonym u wierzchu w strusie pióra: już on sam byłby dla wyspiarzów przedmiotem podziwu. A cóż dopiero, gdy ujrzeli mnogich akolitów z kadzielnicami, ministrantów, chóry śpie-



X. Koeckmann, wikaryusz apostolski Sandwiczów (str. 59).

waków i sypiących kwiaty przed Najśw. Sakramentem: a to wszystko w umyślnie dla nich przeznaczonych sutannach, pasach, szarfach i komżach. Dodajmy jeszcze chrześcijanki wielkie i małe ubrane w bieli i assystujące Boskiemu Zbawicielowi z anielską skromnością, dodajmy mnóstwo sztandarów i chorągwi, a nadewszystko serdeczne nabożeństwo i skupienie naszych katolików: a nie będziemy się dziwić, że ludność cała była oczarowaną. Jest ona niesłychanie wrażliwą tak na złe, jak i na dobre: o to teraz idzie, kto i jak ją wpływem swoim pokieruje.

Bujny wzrost dziennikarstwa jest najwymowniejszym tego dowodem. Na jakie 70.000 ludności było już w r. 1862 pięć ogromnych dzienników, z tych dwa w języku angielskim, a dwa w kanackim. I katolicy mieli już swój organ, który p. t. *Przegląd katolicki* dzielnie się zastawiał o sprawę wiary świętej i o prawa katolików, a zagrzewał i wzmacniał wiernych w trudnem ich nieraz położeniu; drukarnia zaś katolicka, którą dotychczas zarządzał jeden z braciszków, została znakomicie powiększona i wydoskonalona.

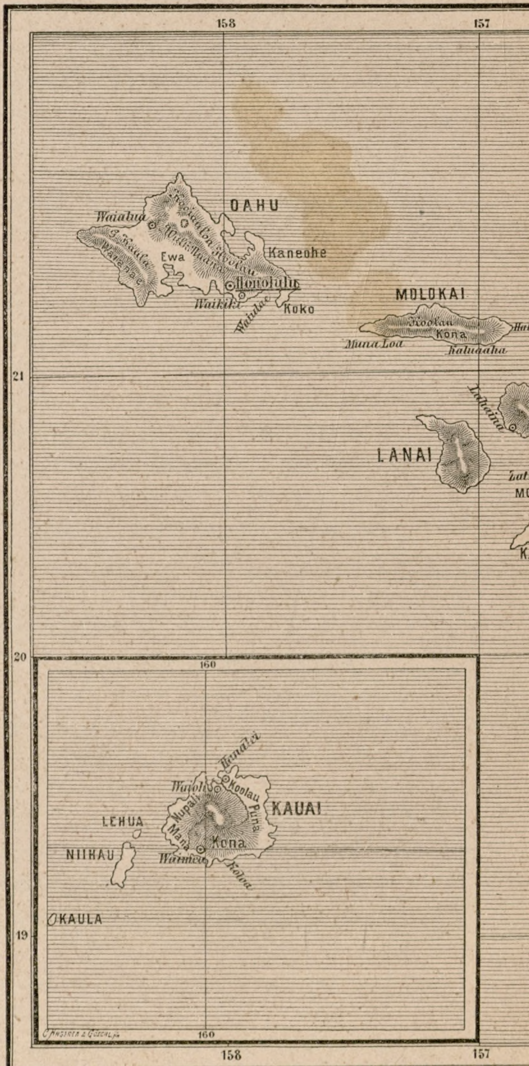
Niepodobna pominąć jednego faktu; da on bowiem wyobrażenie o gorliwości naszych chrześcijan.— Jak w liście swoim (z r. 1871) pisze O. Bousquet, w pewnym obwodzie missyonarskim chrześcijanki nasze długo przemyśliwały nad tem, jak najlepiej uczcić Niepokalanie Poczętą Pannę w poświęconym Jej maju. — I ktoby odgadł, na jaki wpadły pomysł?... Umówiwszy się z sobą, obchodziły wszystkich krewnych i znajomych, którzy jeszcze byli poganami albo protestantami lub też odstępcami od wiary, a takiej używały przekonywującej wymowy i z taką to apostolstwo spełniały roztropnością i pożytkiem, że trzeba było uznać, iż rzeczywiście miłość Boża ożywiała serca tych prawdzi-

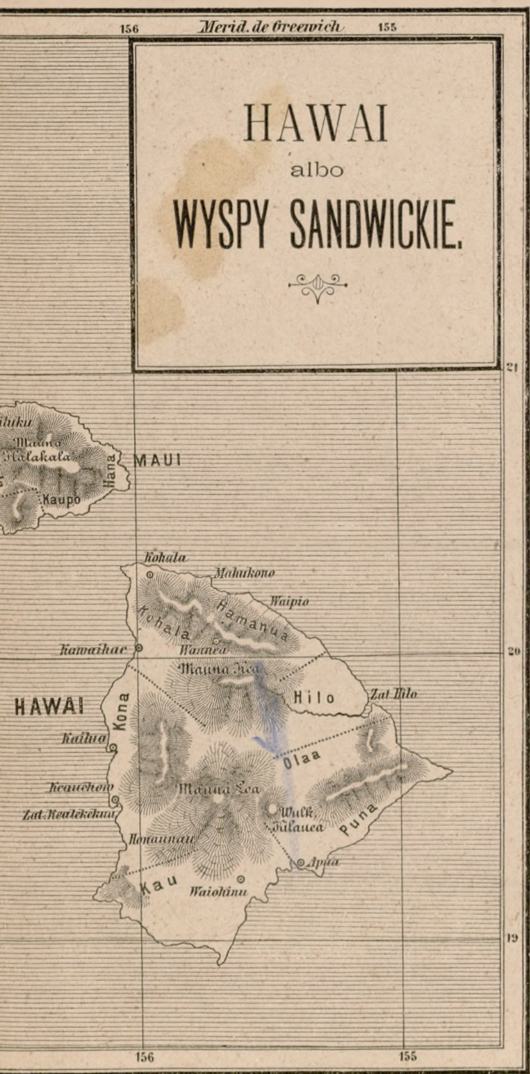
wych »córek Maryi«.... Rzeczywiście nikt bardziej nie ucieszył Przenajświętszej Panny.

Rok 1878 dodał nowego blasku i powagi pośród innowierców katolickiemu Kościołowi na Sandwickich wyspach przez hołdy, jakie zewsząd składano jego czcigodnemu biskupowi X. Maigret w pięćdziesiątą rocznicę kapłańskich jego święceń. Począwszy od Sióstr, które pierwsze były ze swą szkółką w uczczeniu tej chlubnej pamiątki, a kończąc na samym królu, który się kazał swemu ministrowi w złożeniu swych życzeń wyręczyć: był to jeden wspólny dowód czci i miłości, jaki całe królestwo składało u stóp niespracowanego Chrystusowego sługi.... Niestety, niedługo już mu było dane przewodniczyć tym chlubnym walkom i zwycięstwom o dusz zbawienie. Zanim mu jednak złożyć przyszło do spoczynku skronie błyszczące tylu wieńcami zasług, jeszcze oglądał jeden z najsłodszych owoców tego życia i tej nauki »krzyża«. Chcemy tu wspomnieć o zakładzie trędowatych w Molokai.

Dzieje średnich wieków piękną zostawiły kartę dla czułej troskliwości katolickiego Kościoła i jego dzieci, jaką otaczali te najbiedniejsze z ludzkich istot, które zaraza trądu dotknęła. Komu atoli nieznana ta długa a bohaterska kronika »miłosierdzia«, ten niech przybędzie na Sandwicką wyspę Molokai i niech wstąpi do tej nadbrzeżnej wioski trędowatych, którąby słusznie »grobem żywych« nazwać można. Wszystkie zmysły wzdrygają się na ten widok nędzy, o jakiej drugiej chyba trudno nawet i zamarzyć, a serce ściska się od boleści.

Zanim katolicyzm dostał się na wyspę i mógł swobodnie rozpocząć zbawcze swoje prace — ten kawał lądu pomiędzy górami a morzem, nie był »grobem« ale »piekłem« żywych: bo siedliskiem mąk bez pocie-


158
157
21
20
19
160
OAHU
Waialua
Ewa
Kaneohe
Honolulu
Waikiki
Koko
MOLOKAI
Kona
Kaluaaha
LANAI
Lahaina
KAUAI
Hanalei
Koolau
Puna
Nupali
Mana
Kona
Waimea
Koloa
LEHUA
NIIHAU
KAULA



HAWAI
albo
WYSPY SANDWICKIE.
Merid. de Greenwich
156
155
21
20
19
MAUI
Hana
Kaupo
Kohala
Mahukono
Waipio
Hamanua
Kawaihae
Waimea
Mauna Kea
Hilo
Zat. Hilo
HAWAI
Kona
Kailua
Olaa
Keauhou
Mauna Loa
Zat. Kealekekua
Wulk. Kilauea
Puna
Honaunau
Apua
Kau
Waiohinu

chy i nadziei. Państwo, jak wszystkie instytucye »liberalne«, jeżeli ciału tych nieszczęśliwych jakąkolwiek rzucało strawę, to o duszę nie starało się wcale; protestantyzm nie miał na tyle ducha ofiary, by dotrzeć w tę przepaść ze słowem takiej pociechy, któraby zdolną była tak straszne morze cierpień osłodzić. Straszny był nad wszelki wyraz los tych to kalek.

Dopiero katolickiego Kościoła trzeba było, Kościoła, co w miłości Boga i w Sercu Boga ma początek, by sercom pełnym rozpaczy zaniósł tę naukę, co sama jedna zdolna wszystkie gorycze i męki osłodzić. Najsławniejszym zaś tutaj bohaterem, to O. Damian Daveuster.

Od 1873 r. zstąpił w tę otchłań, jako Anioł Chrystusów, co z tego ziemskiego — już nie piekła — ale czysca krocie dusz rok rocznie do nieba na lepsze a wieczne życie wprowadza. Rodzony ojciec ani nawet matka nie byliby w stanie tego dokazać, czego on dokazał. Tam już odtąd wszystko inaczej.... Obok cierpień bez granic uderza rezygnacya i spokój, i rozlegają się rzewne hymny pobożne, czy to przez okna kościółka (zobacz rycinę na str. 49), czy na werandzie zakładu. Starcy, niewiasty i dzieci, słowem — wszyscy zarówno wszystko tu znajdują, co ciału i duszy ulgę przynieść może. Sam tylko opiekuńczy ten Anioł nawiązując z dniem każdym nowe ogniwo zasług do tego olbrzymiego łańcucha, uśmiechem dobroci pokrywa te straszne cierpienia, na jakie go miłość Boga i bliźnich skazała. Dziś — jak nam donoszą gazety — a rok to już 1887, czeka prędszego niż kiedykolwiek wyzwolenia z tych ciężkich więzów ciała. I on już teraz — trędowaty!... Królowa Sandwiczu, Kapajolani, odwiedziwszy ten zakład, zdumiona takiem poświęceniem, komandorską wstęgę orderu Kalakauy udzieliła świątobliwemu mis-

syonarzowi: ale Bóg lepszą chowa nagrodę dla tego, którego świat cały nie jest w stanie nagrodzić!

Ostatnie lata — to spokojne i ciche lata rozwoju Bożego posiewu. Na czele dyecezyi wysp Sandwickich stanął po sędziwym i zasłużonym X. biskupie Maigret, X. biskup Koeckmann (zobacz rycinę na str. 53) jako wikaryusz apostolski. Król Kalakaua ukoronowawszy siebie i żonę na sposób protestancki w r. 1883, lubo nie wiele się troszczy o religię, wszelako sprzyja katolikom, jako tym, w których widzi najzdrowszy pierwiastek moralności i ładu w swem młodocianem państwie. Jakeśmy wspominali już dawniej, obecny stan wysp Sandwickich chlubę przynosi niestrudzonej pracy missyjnej i najlepiej dowodzi — bo w skutkach — jak cudowną posiada w sobie potęgę katolicka wiara.

Najświeższy wykaz statystyczny piękny stawia obraz rozwoju dzieła Bożego na wyspach Sandwickich przed naszemi oczyma. Według dat statystycznych z 1 maja 1885 r. w skład wikaryatu apostolskiego, założonego na wyspach Sandwickich przez Kongregacyę Najśw. Serc J e z u s a i M a r y i, wchodziły następujące osoby: X. Biskup Herman Koeckmann, wikaryusz apostolski, 23 księży i 6 braci zakonnych z Kongregacyi Najśw. Serc Jezusa i Maryi; 24 Sióstr i 2 nowicyuszki z zakonu Panien Sercanek; 16 Braci szkolnych ze Stowarzyszenia Najśw. Maryi Panny i 10 Franciszkanek, przeznaczonych do obsługi szpitali.

Missya rozpada się na 20 stacyj missyjnych, liczących razem 84 kościołów i kaplic, z których 15 zbudowanych z kamienia, reszta z drzewa.

Dla lepszego zaznajomienia czytelników naszych

z postępem dzieła Bożego na wyspach Sandwickich, podajemy zosobna stacye missyjne:

Na wyspie Oahu cztery stacye: 1. stołeczne miasto Honolulu z kościołem katedralnym, wystawionym w r. 1843, z trzema kaplicami zakonnemi i kaplicami w Woikiki i Kalihi; razem 4310 katolików; 2. Ewa z jednym kościołem i trzema kaplicami; razem 280 katolików; 3. Wajane z jednym kościołem i dwoma kaplicami; razem 660 katolików; 4. Koolau z jednym kościołem i z czterema kaplicami; razem 487 katolików.

Na wyspie Maui pięć stacyj missyjnych: 1. Homa: 3 kościoły, 2 kaplice, 1056 katolików; 2. Koolau: 3 kaplice, 80 katolików; 3. Bahaina: 1 kościół, 5 kaplic, 554 katolików; 4. Wailuku: 1 kościół, 2 kaplice, 1819 katolików; 5. Makawao: 2 kaplice, 434 katolików.

Na wyspie Kauai dwie stacye missyjne: 1. Hanalej: 2 kaplice, 1600 katolików; 2. Koolau: 2 kaplice, 600 katolików.

Na wyspie Hawai osiem stacyj missyjnych: 1. Północne Kona: 2 kościoły, 3 kaplice, 465 katolików; 2. Południowe Kona: 6 kaplic, 346 katolików; 3. Waimea: 3 kaplice, 498 katolików; 4. Dohala: 2 kaplice, 619 katolików; 5. Hilo: 1 kościół, 5 kaplic, 3176 katolików; 6. Puna: 5 kaplic, 211 katolików; 7. Hamakua: 1 kościół, 4 kaplice, 1229 katolików; 8. Kau: 3 kościoły, 4 kaplice, 1920 katolików.

Na wyspie Molokaj jedna stacya missyjna tegoż samego nazwiska z 1 kościołem, 6 kaplicami i z 761 katolikami (zob. mapę wysp Sandwickich na str. 56 i 57).

Liczba więc katolików wikaryatu apostolskiego na Sandwiczach wynosiła w maju 1885 r. 21.105 katolików. Śliczne to plony wytrwałej pracy świątobliwych żniwiarzów Chrystusowych! Ufamy łasce Bożej, że dozwoli większego jeszcze żniwa się doczekać na wyspach Sandwickich, i że wkrótce reszta mieszkańców wyspy, a jest ich jeszcze więcej o kilka tysięcy od nawróconych do Chrystusowej wiary, przejdzie na łono tego, który jeden tylko jest drogą, prawdą i żywotem.

WYSPY GAMBIER.

Było to 15 lipca 1834 r., w samą uroczystość Matki Boskiej Szkaplerznej. W porcie miasta Valparaiso tysiące pobożnych Chilijczyków żegnały missyonarzów, co nieśli naukę zbawienia pogańskim ludom Oceanii: to Ojcowie Caret i Laval, ze znanego nam zgromadzenia Najśw. Serc Jezusa i Maryi a pierwszym ich celem — gromadka wysp Gambier.

W czasie trzechtygodniowej podróży na statku »Peruvienne«, dowiedzieli się niejednej rzeczy, która się im w ich nowej pracy wielce przydać miała, a prócz tego spotkali na okręcie dwu kanaków, pogan. Jeden był rodem z Nowej Zelandyi i dawniej ludożercą, drugi z Tahiti: mogli więc — jako znający narzecze wysp Gambier [1]) — co najmniej przy wylądowaniu niemałe im oddać usługi.... Zapasów wcale nie wiele wieźli missyonarze w te nieznane ustronia; nieco pożywienia dla siebie, niewielką ilość perkalu na podarunki dla dzikich i trochę nasion, aby ich uczyć pracy, a brat Kolumban, który się do wyprawy przyłączył, miał jeszcze pakę z narzędziami gospodarskiemi. Za to wieźli ze sobą wiele miłości Bożej i zapału.

---

[1]) Gambijczycy mówią tem samem prawie narzeczem, jak mieszkańcy Nowej Zelandyi; narzecze Tahiti podobne jest do Sandwickiego.

Dnia 7 sierpnia obaczyli tę swoją »obiecaną« ziemię.... Jak daleko wysunięta czata, wyspy Gambier wybiegły z pośród archipelagów Spokojnego Oceanu w stronę Ameryki południowej. Jest ich sześć, ale dwie z nich nie są czem innem, jak nagiemi skałami; wyspiarze zwykli tam perły łowić i dobywać perłową macicę. Zamieszkałych wysp, gdzie prócz mnogich i wysokich skał znajdują się liczne doliny z gajami bananów i chlebowego drzewa, jest cztery: Akena, Akamaru, Tarawai i Mangarewa. Jedna od drugiej leży o mil kilka a Mangarewa jest największą i siedzibą ich króla; w jej to zatoce koralowej »Peruvienne« zarzuciła kotwicę....

Łatwo sobie wyobrazić, jak mocno biło serce missyonarzom na widok tego tłumu dzikich, co wyległ na oglądanie ogromnego statku i jak mrowisko roił się po wybrzeżu. Ci biedni czarni i nadzy ludożercy — nasuwała się mimowoli myśl missyonarzom — mają się przez ich pracę a może i krew stać kiedyś szczęśliwemi dziećmi Bożemi!... A tymczasem zwykły okrzyk powitalny krajowców: *Ija o zana! Ijo ranks!* tysiącznem odbijał się echem.

Po odprawieniu Przenajświętszej Ofiary na pokładzie okrętu na intencyę wyspiarzów, trzeba było na ich plecach dostać się na ziemię. Nie robiło im to najmniejszej trudności: bo naród to olbrzymów a O. Caret i O. Laval wyglądali wobec nich jak dzieci. Śród tłumów ciekawie przypatrujących się białym przybyszom w białych sutannach, szli missyonarze do króla Maputeo. Po drodze spotkali główną świątynię pogańską albo raczej wielką szopę na palach wspartą, pełną bożyszcz i darów im składanych; nie małą ona rolę odegrać miała kiedyś w dziejach nawrócenia tej wyspy....

Przybyto przed króla. Król Maputeo, olbrzym

opasły, leżał rozciągnięty niedbale na plecionej macie, a nie ruszywszy się nawet na widok przybyłych, rzekł im z krwią najzimniejszą:

— Ja was wcale nie potrzebuję; możecie wrócić sobie tam, zkądeście przyszli....

Poddając się tedy wyrokom Bożej Opatrzności, trzeba było na innej wyspie szczęścia próbować. Przed opuszczeniem jednak Mangarewy O. Laval wyrył święte godło krzyża na jednej z kolumn pogańskiej świątyni i w szczelinie jej ukrył obrazek tej Niezwyciężonej Pani Nieba, co stopą swoją starła łeb szatański. Niechże Ona raczy przygotować tę ziemię pod zasiew ewanielii Jej Syna. I rzeczywiście Bóg sam zdawał się prowadzić swych missyonarzy. Wylądowali na wyspie Akenie.

Naczelnik wyspy przyjął ich jak najuprzejmiej i koniecznie chciał ich na wyspie zatrzymać. Przyczynił się do tego niemało brat Kolumban wykopaniem studni, której tu jeszcze nigdy nie widziano; patrzano na niego, jak na cudotwórcę. Ale kto wie, czy nie wiele więcej pomogła missyonarzom mała dziecina, którą przy jej śmierci ochrzciwszy, z imieniem »Marya« wyprawili przed tron Boga, by jako pierwsza święta z tych wysp ludożerczych, ich też stała się orędowniczką.

Od czegóż teraz zaczynać? Oczywiście od nauki nieznanego języka i wyszukiwania chorych dziatek, by im w niebezpieczeństwie śmierci udzielić Sakramentu Odrodzenia: tak też uczynili missyonarze i te były ich pierwsze i najgłówniejsze zajęcia; w tym celu postanowili i Mangarewę ponownie odwiedzić. Wybrał się tamże sam O. Caret z owymi dwoma Oceańczykami, jakich spotkał na okręcie w podróży z Valparaiso.

Gwarno było na Mangarewie: właśnie obchodzono uroczystość pogrzebową zwaną *tirau*. Mniej więcej stu dzikich tańczyło w około świątyni bożyszcz, wykrzy-

kując na wszystkie tony jakieś niezrozumiałe wyrazy; pośrodku na długim kamieniu leżały dobrze uwinięte zwłoki ludzkie, a obok jakaś skrzynia, do której zbliżano się po kolei, aby ręką uderzyć. Niewiasty siedziały osobno.... Skoro tylko ujrzano missyonarza, otoczono go zbitem kołem i zarzucano pytaniami, na które wszystkie niepodobna było — nawet przez tłumacza — odpowiadać. Na usilne prośby usiadł Ojciec Caret na wskazanym kamieniu i przyglądał się tej osobliwszej ceremonii.

Po krzykach, śpiewach i tańcach utworzono processyę, pośród której zwłoki zabrane z kamienia, poniesiono gdzieś w głąb wyspy. Z powrotem ułożono je na wzniesieniu podobnem do katafalku i pokrytem *tappą* [1]) czyli płótnem krajowego wyrobu, a czterech czy pięciu dzikich, prawdopodobnie kapłanów pogańskich, przystąpiwszy do zwłok nieboszczyka, poczęli do nich naprzemian przemawiać z wielką niekiedy gwałtownością i najżywszą gestykulacyą; nakoniec jeden z nich pochwycił twardy orzech kokosowy — uderzył nim nieboszczyka w głowę i dodał do tego wymowne jakieś groźby. Skoro skończył, zabrano ciało i pomieszczono na pewnego rodzaju trójnogu, na którym zwykli tutejsi wyspiarze wystawiać zwłoki, dopóki zupełnie na skwarze słonecznym nie wyschną.

---

[1]) *Tappę* wyrabiają mieszkańcy wysp Gambier z łyka morwy papierowej (*Broussonetia papyrifera*) w ten sposób, że oddzieliwszy je na paski, moczą w wodzie przez dłuższy czas (podobnie jak u nas postępuje się z lnem albo konopiami). Następnie układają te paski warstwami jedne na drugich i mocno zbijają odpowiedniem narzędziem, przez co warstwy łyka ściśle się ze sobą łączą i tworzą jeden kawał płótna. Daje się ono bielić na słońcu, jest atoli bardzo słabe i nie wiele mocniejsze od papieru. Chińczycy i Japończycy wyrabiają z tego samego łyka po dziś dzień przepyszny papier i bardzo delikatne tkaniny.

Ponieważ nie można było dopytać się o chore dziatki, musiał O. Caret tym razem powrócić na wyspę Akenę; druga i to pięciodniowa wycieczka, jaką zrobił wraz z O. Lavalem, jeźli nie przyniosła pociech, to przyniosła hojną zasługę. Czart, widocznie mocno rozgniewany zamachem na swe siedlisko, wszystkich używał sposobów już nietylko na to, aby się pozbyć missyonarzów, ale by ich nawet dostać w sidła zepsucia. Kiedy nic wskórać nie mógł, urządził przeciw nim formalną krucyatę: chciano ich żywcem spalić; wybawiła ich jednak od tego Przenajświętsza Panna.

Za to na Akenie i Akamaru bardzo szło wszystko pomyślnie. Ich mieszkańcy tak się przywiązali do missyonarzów, w których zdawali się odczuwać całą tę miłość, z jaką ci się dla nich poświęcają, że na jednej i na drugiej wyspie własnemi rękami pobudowano im domy. I to nie dosyć. Ponieważ ustawicznie chcieli wszyscy obcować z missyonarzami, a ci nie mogli stale na jednem tylko miejscu pozostać, ale musieli udzielać się jednym i drugim: trzeba było dla nich taki zaprowadzić porządek, że jeden tydzień mieszkali missyonarze na Akenie, a następny na Akamaru. A nawet i wtenczas, gdy z wyspy na wyspę trzeba się było przeprawiać, poczciwi ci wyspiarze nietylko aż do łodzi odprowadzali swych Ojców, ale szli za nimi, jakby pilnując, by też przypadkiem nie zechcieli tygodniowy ów termin przeciągnąć. A przecież ci missyonarze dopiero zaledwie oderwanemi wyrazami mogli się z nimi porozumieć, i wiele pytań albo odpowiedzi musieli jeszcze załatwiać gestami. Ktoby się pytał był na wyspach o Ojca Caret albo o Ojca Laval, nigdyby się był nie dowiedział z samego nazwiska: bo O. Caret nazywał się tutaj T a r e t a, a O. Laval T a w a r a. Jeżeli o obu mówili, to dosyć było powiedzieć *Ko-rua* (co znaczy c i d w a j);

bratu zaś Kolumbanowi dostało się od nich nazwisko Tamuta dlatego, że zawsze miał z drzewem do czynienia.

Zapał w uczeniu się modlitwy i znaku krzyża św. nie miał tam granic. Każdy chciał go umieć wyrażać. Założono szkoły na obu wyspach; ponieważ atoli o książkach dla tych nowych uczniów a tem bardziej o drukarni własnej nie można było myśleć, wzięli się missyonarze na sposób — choć niełatwy dla braku czasu, ale jak się pokazało, praktyczny.

Pisali na osobnych kartkach wielkie i wyraźne alfabety, z których uczyli ich czytać a na czele umieszczali wielki krzyż: ztąd alfabet taki otrzymał utartą nazwę »krzyż Boga«.... Oczywiście, że taka nauka zaczynała się zawsze od dzieci; i tutaj powtórzyło się znowu to samo, co czytamy o nauczaniu Indyan przez św. Franciszka Ksawerego. Za dziećmi poszli wnet ojcowie, a matki uczyły nawet swoje niemowlątka wyrażać drobnemi ich rączęty to święte godło zbawienia.

Trudno było missyonarzom zadośćuczynić w pełni temu wielkiemu pragnieniu, jakie objawiali dzicy, by ich nauczyć modlić się: bano się bowiem, by dla braku biegłości w ich mowie, nie nauczyć ich czego niewłaściwego. Dlatego nasamprzód odmawiali z nimi te krótkie westchnienia, które tak odpowiadały ich pojęciu i usposobieniu:

— Mój Boże — naucz mnie!

— Mój Boże! Kiedy ciało moje umrze, niechże moja dusza żyjąca idzie do Ciebie do nieba, by Ciebie widzieć mogła w życiu długiem, długiem, długiem — bez końca! (Ten sposób wyrażenia miał oznaczać »wieczność«).

Dziwna rzecz! Zaledwie czterech młodych ludzi nauczyło się tej modlitwy, zaraz sami dorobili sobie

rytm odpowiedni i poczęli uczyć drugich. Pokazało się z tego, że jeżeli nie rym, to przynajmniej rytmiczność w mowie niezmiernie ułatwia i uprzyjemnia takim prostaczkom wszelką naukę.... Niezadługo wszystkie dzieci na obu wyspach umiały je i odmawiały czy to wstając rano, czy kładąc się wieczorem, przed jedzeniem i po jedzeniu, a żadne z nich i kropli wody do ust nie brało, bez znaku krzyża świętego i bez tej modlitwy. Ilekroć missyonarze odmawiali swe kapłańskie modlitwy, otaczały ich dzieci, ciekawie im się przypatrując i nadsłuchując, by módz potem powtarzać wyrazy, jakie od nich usłyszeli.

I w nauce czytania przodowały dziatki, a zapał ich w tym względzie dochodził do tego, że na krok nie odstępując missyonarzów, ustawicznie dopytywały się, jak złożyć ten lub ów wyraz, a każdy na zabój zdawał egzamin z tego, co się dotychczas nauczył i chciał, by mu missyonarz powiedział, czy to dobrze lub nie. Między te rzesze dziatek wnet poczęli się mieszać i starsi z alfabetem w ręce lub też bez niego i tak samo uczyli się i recytowali co tylko umieli. Trzeba było zaiste wielkiej przytomności umysłu i silnych nerwów, by się nie dać tym hałasem pomieszać, ale nierównie większej jeszcze trzeba było słodyczy charakteru, by się nie zniecierpliwić tą natarczywością.

Za to owoc pracy przewyższał wszelkie oczekiwania. Już prawie wszyscy dzicy wiedzieli z nauk i z codziennego obcowania z missyonarzami, że »jeden« jest tylko Bóg prawdziwy, że dusza nigdy nie umiera chociaż ciało umrze i że dusza dobra idzie do nieba, gdzie będzie bardzo szczęśliwa, a zła pójdzie w ogień, który nigdy nie zagaśnie. Ztąd oczywiście jęli się dopytywać, która dusza jest »dobra« a która »zła« i po czem to poznać; otwarta była tedy droga do nauki o przyka-

zaniach Boskich. Atoli — jak już poznać można z co dopiero opowiedzianych rzeczy — nie odrazu wszystkie przykazania oznajmiali im missyonarze: bo niepodobna było tę silną tkaninę fałszów, zabobonów i najgrubszej zmysłowości rozerwać inaczej, jak tylko rozrywając nić po nici. Trzymano się tej roztropnej zasady, że zanim z tych ludzi na wskróś zepsutych uczyni się chrześcijan, trzeba mieć moralną pewność, że będą żyć po chrześcijańsku i wprzód trzeba przysposobić i pozyskać sobie serca, nim się od nich można domagać wielkich zwycięstw nad sobą. Wiele należało albo tymczasowo milczeniem pominąć i milczeniem albo własnym przykładem zganić, ale za to dać im poznać niejako namacalnie i na każdym kroku, że to przecie ze wszech miar dobrze jest służyć temu jedynemu Bogu, z którego nauką przyszli missyonarze na te wyspy.

Już w pierwszych dniach pobytu na Akenie skarżono się przed Ojcami, że tam liczne choroby panują i że ich przyczyną są umarli, którzy się po śmierci nieraz pokazują, jakoteż złe duchy czyli »bogi złośliwe«. Największym winowajcą miał być ich bożek Arnajino. Jest to zbiorowe niejako nazwisko bożków, których jest kilkudziesięciu, a wszyscy źli, wyjąwszy dwu, mających dawać tym wyspom owoce. Rzeczywiście — jeżeli nie za sprawą nieboszczyków albo Arnajina, to wskutek nędznego pożywienia i wskutek rozpustnego życia, chorób było tam wiele, a nadewszystko naskórnych. Pozbawieni wszelkich środków leczniczych, nie mogli missyonarze ulżyć im inaczej, jak tylko zastosowując z wszelką miłością a razem roztropnością te sposoby leczenia, jakie im podawało doświadczenie i instynkt; przedewszystkiem uciekano się do wody. A nie było to bez wielkiej korzyści, bo w ten sposób nasuwała się

jest dobry — dostarcza świeżego owocu blisko ośm miesięcy, a z którego na pozostałe cztery miesiące robią i przechowują ciasto, zwane *tioho*, by w razie potrzeby wypiekać zeń na gorących kamieniach placuszki. Europejczykowi trudno jest przyzwyczaić się do tego skisłego i kwaskowatego *tioho*, i dlatego jada się je zazwyczaj razem z kawałkiem ryby.

Po chlebowcu najważniejszą odgrywają rolę drzewo kokosowe i banan. Pierwsze z nich jest najwyższe z pomiędzy wszystkich, a daje w samym tylko swoim orzechu nietylko mleko bardzo smaczne i włókno, z którego wyrabiają się powrozy, ale jeszcze skorupę, która dzikim mieszkańcom Oceanii dostarcza naczyń do jedzenia i picia (zob. rycinę na str. 73).

Jeżeli drzewo kokosowe jest najwyższe, to banan (*Musa paradisiaca*) ma liście największe ze wszystkich roślin znanych. Owoc przedstawia grona umieszczone na olbrzymiej szypułce jedno nad drugiem, a każde grono liczy 8—9 owoców o długości siedmiu do ośmiu cali ale okrągławych jak młoda figa, lubo bardziej jednostajnie wydłużonych i okrytych błoną żółtawą. Smak ich jest słodki a przytem nieco cierpki.

O morwie papierowej wspomnieliśmy już wyżej, mówiąc o tkaninie *tappa*.

Dawniej rosła tu obficie na wyspach bardzo po-

---

obiera się go z tej skóry i pożywa wewnętrzną jego zawartość, która podobna do świeżego chleba, jest smacznym i zdrowym pokarmem. Smakiem przypomina on chleb pszenny z lekką domieszką gotowanych karczochów (*Cynara Scolymus*). W języku krajowców zwie się chlebowiec *tumea* a jego owoc *majore*.



spy Gambier. — Drzewo chlebowe; podług fotografii. — W głębi widać chaty krajowców
po prawej stronie drzewo kokosowe, po lewej zaś banany (str. 72).

żywna roślina zwana *tarro* [1]), podobnie jak *bataty* [2]) i *ignamy* [3]). Dodajmy jeszcze trafiającą się tu i owdzie tak zwaną kapustę karaibską [4]) i korzeń przez krajowców zwany *ti*, a przez Anglików *ti-root*: a będziemy mieli dokładny spis owocowych drzew i jadalnych korzeni na wyspach Gambier.

Przez nieporadność atoli krajowców tak niektóre z wspomnianych bulw wyginęły, że przybyli tu missyonarze zaledwie szczątki i ślad ich znaleźli. Należało temu zaradzić. Uczyli ich tedy Ojcowie, jak oszczędzać, jak sadzić i rozmnażać, a nadewszystko, jak zachowywać sobie zapasy, a prócz tego sprowadzali z Valparaiso różne nasiona, które starali się chodować na wyspach i oswoić z gruntem tamtejszym. I rzeczywiście, lubo szczury — ta największa ich plaga — wszystko co się dało, raz po raz zjadały, udało się missyonarzom wychodować niektóre z roślin europejskich, jak naprzykład winną latorośl i fasolę; co do innych, które w szczególniejszy sposób szczurom do smaku przypadły, trzeba

---

[1]) *Tarro* (*Caladium esculentum*), należy do rodziny t. zw. »obrazkowatych«, i tak jest rozpowszechnione pomiędzy ludami południowej części Spokojnego Oceanu, że otrzymało od nich nazwę »chleba«; to bowiem znaczy *tarro*.

[2]) *Batat* (*Batatus edulis*) z rodziny »powojowatych«, rośnie powszechnie w krajach międzyzwrotnikowych i daje korzeń bulwiasty, który ugotowany w wodzie, smakiem zbliża się do naszych kasztanów jadalnych. Dziś uprawiają go już w Hiszpanii a nawet we Francyi południowej.

[3]) *Ignam* jest pnącą się rośliną, a wielkość jego bulwy dochodzi do półtorej stopy. Bulwa taka uprażona na węglach, bardzo jest smaczną, a znają ją i cenią sobie wielce mieszkańcy środkowej nawet i zachodniej Afryki.

[4]) Jest to nazwa, jaką jej dają Francuzi (*le chou caraïbe*). Roślina ta nietylko daje pożywny, mięsisty i ze smaku do rzepy podobny korzeń; ale nawet i liście są jadalne tak jak u naszej zwyczajnej kapusty.

było bezustannie ponawiać próby i wciąż je w tym celu sprowadzać tak samo, jak perkal. Tego bowiem lubo wielekroć odnawiane zapasy, zawsze były zamałe w porównaniu do liczby wyspiarzów potrzebujących jakiego takiego okrycia: a przecież oprócz gospodarskiego zmysłu trzeba było wyrobić w tych dzikich ludziach także i poczucie skromności.

Jedno i drugie, mimo licznych trudności, odpowiedziało usiłowaniom missyonarzów i najlepszy przynosiło owoc, a w dodatku taką missyonarzom wyrobiło powagę, że sami naczelnicy a nawet król Maputeo szukali u nich pomocy, ilekroć w trudniejszych wypadkach wątpili, czy znajdą żądaną uległość u swoich podwładnych. O reszcie mieszkańców nie wspominamy nawet: dla nich missyonarz był przyjacielem, ojcem, opiekunem i wyrocznią. I cóż dziwnego, że w takich warunkach nauka wiary świętej szybkie robiła postępy!

Po kilku miesiącach umieli już mieszkańcy Akeny i Akamaru główniejsze zasady wiary, jak naprzykład o tajemnicy Trójcy Przenajświętszej, o Wcieleniu i Odkupieniu itp., a to wszystko po należytem wytłumaczeniu podawano im w pieśniach, które się stały rozkoszą małych i wielkich i w krótkim czasie echem swoim napełniły te dwie we wierze przodujące wyspy. Podajemy tu jednę z takich pieśni w języku krajowców z dodatkiem dosłownego przekładu:

He Atua ko tahi noti.	Bóg jest tylko jeden.
R toru mea Atua.	Jest trzy osób w Bogu.
R kore toru Atua.	Nie ma trzech Bogów;
He Atua ko tahi noti.	Bóg jest tylko jeden.
He Atua Atariki	Bóg Syn
Kuhanan ia tangata	Urodził się człowiekiem
No Maria tana kui	Z Maryi swojej matki
Na te kuane Atua.	Za sprawą Boga-Ducha [1]).

Kua mate ite paka	Umarł na krzyżu
Jezu Kristona tangeta,	Jezus Chrystus za ludzi,
Ora noa ia ratu,	(Jako) zbawienie zupełne dla nich,
Ora noa ia tatu.	(Jako) zbawienie zupełne dla nas wszystkich.

Nuty do takich pieśni albo missyonarze poddawali według pieśni kościelnych używanych w Europie, albo sami dzicy na poczekaniu dobierali sobie nutę, której potem przestrzegali wszyscy. Rzecz dziwna. — W tak stosunkowo krótkim czasie Akena i Akamaru wcale inną przybrały postać. Miasto bezbożnych orgij *tirau*, rozlegały się święte pieśni czy to koło domu czy też przy ognisku, po szczytach gór a nawet po wodach Oceanu, kiedy się po nich kołysały wątłe *pahipahi* czyli czółna wyspiarzów. Przypominało to prace św. Fr. Ksawerego na wybrzeżach Malabaru. A jak dziwnemi drogami wnikał Duch święty w te nocą błędu otulone serca!

W samych jeszcze początkach apostolskiej swej pracy naradzali się ze sobą OO. Caret i Laval, w jaki sposób tym zmysłowym poganom mówić o Trójcy Przenajświętszej. W tem przypomina im się św. Patrycyusz, jak niegdyś pogańskim jeszcze mieszkańcom Irlandyi tłumaczył tę wielką tajemnicę listkiem koniczyny. Wyborny pomysł! A tak trafił on do pojęć wyspiarzów, że odtąd ilekroć zbierali się na tę naukę katechizmu, zaraz z własnego natchnienia przynosili ze sobą trójlistek koniczyny, jako niezbędną pomoc naukową.

Wspominaliśmy z początku, jak mile przyjął Ojców naczelnik wyspy Akeny za pierwszym ich tamże przybyciem. Zwał on się Pojamara, a chociaż z nadzwy-

---

[1]) Właściwie Duch święty znaczy w języku wysp Gambier *Kuane Poretu;* wszelako z początku należało bardzo ostrożnie wykładać tę niezgłębioną tajemnicę ludziom, którzy przywykli byli do wielobóstwa.

czajną pilnością przykładał się do nauki zarówno z małemi dziećmi, to przecież zdawało się przez czas pewien, że bardzo będzie trudno co wykuć z tego tak niepojętnego człowieka. Tymczasem chciał Bóg dowieść na tym nowym przykładzie, jak Mu się bardzo podoba serce proste i dobra wola ludzka.... Nagle i niespodzianie taką jasnością napełnił rozum tego poczciwego człowieka, że odtąd znajomością wiary świętej obu wyspom tak jak i swoją gorliwością przodował; missyonarze mieli w nim najlepszego katechistę a jego poddani pod nieobecność missyonarzów zbiegali się do niego na naukę.

Za jego to niezawodnie radą i staraniem na obu tych wybranych wyspach ludność sama zbudowała *hare pure* czyli kościoły, które lubo były bardzo proste, stały się przecież wielkiem dla tego ludu dobrodziejstwem. Już odtąd Syn Boży zstępował tam codziennie na ołtarze, by się za zbawienie tych pogan Ojcu swemu ofiarować.

A trzeba było widzieć tych czarnych katechumenów, jak skwapliwie zbiegali się w ubogie ściany swojego kościółka i z jaką przykładną skromnością przyglądali się Najświętszej Tajemnicy. Częścią odmawiano w takt wspólne modlitwy, częścią śpiewano podczas mszy świętej zwykłe pieśni pobożne, a dyrektorem tego osobliwszego chóru był znowu poczciwy naczelnik Pojamara.

Nie podobna milczeniem pominąć, jak szybkie i jak głębokie korzenie zapuściło w tych sercach nabożeństwo do Najświętszej Panny. Zaledwie pierwsze podano im pojęcia o Boskim Zbawicielu, spostrzegli przypadkowo w brewiarzu jednego z missyonarzy obrazek Matki Bożej.

— Co to jest?... Kto to?... Ach, jakie to śliczne! — wołano bez ustanku.

rych się nigdy dosyć nasłuchać nie można. Bóg posługiwał się ich ciekawością: bo kiedy wracali do domu, każdy stawał się mimowoli prawie nauczycielem wiary lub — co najmniej — przesłannikiem missyonarzy, powtarzając co słyszał i ucząc innych żegnać się znakiem krzyża świętego.

Niezadługo udało się Ojcom spotkać ze samym królem Maputeo.

Było to na wyspie Tarawai, której w pierwszy dzień nowego roku 1835 zaniesiono wesołą nowinę Chrystusowej wiary. Właśnie tam gościł Maputeo.

Wiedzieli missyonarze, jak wrogo jest dla nich usposobiony ten zażarty dotychczas bałwochwalca, ale pokładając ufność w Bogu, dla którego chwały pracowali, wręcz i bez ogródki wypowiedzieli pogańskiemu królowi całą prawdę, że jeden tylko jest Bóg prawdziwy i Stwórca wszechrzeczy; że prócz tego śmiertelnego życia jest jeszcze życie przyszłe, gdzie dobrzy otrzymają wielką nagrodę a źli gorzeć będą w ogniu, który nigdy nie zagaśnie.

Ostatnie zdanie powtórzyli mu dobitnie z zastosowaniem do niego; a te słowa zrobiły na nim takie wrażenie, że aż pot obfity nań wystąpił. Chwilowo usunął się na bok; gdy atoli missyonarze wrócili do swego schroniska po nauce, jaką mieli dla krajowców, zastali już u siebie Maputea.

Milczał i widocznie rozmyślał nad owemi słowy, które — jak strzała — utkwiły mu w myśli. Dorzucili mu tedy Ojcowie znowu kilka uwag o prawdziwym Bogu, a tym razem — o Jego wielkiej dobroci. Maputeo odzywał się, że ich nauka jest piękna i prosił, by chcieli jeszcze dłużej pozostać.

Dobry to był początek, a missyonarzom dodał

otuchy, że i dla Mangarewy niezadługo uderzy godzina zbawienia.

Pierwsza ona wyprawa na Tarawai była tylko wstępem do rzeczywistej pracy missyjnej: trzeba było bowiem zapoznać się wprzód z ludem i z miejscowemi stosunkami; dnia 22 stycznia wybrano się tamże powtórnie.

Daleka i mozolna podróż z Akeny upłynęła śród modlitw i pobożnych pieśni już to francuskich, już to w języku krajowym, jak owa *He Atua ko tahi noti.* Na brzegu powitała ich ludność dość zimno; za to garnęły się do nich dzieci, prosząc by ich nauczyć znaku krzyża świętego i raz po raz wyrażając go na sobie. Za dziećmi poszli wnet starsi — jak na Akenie i Akamaru, i w krótkim czasie wypogodziły się wszystkie oblicza a missyonarze ujrzeli się w oblężeniu przez krajowców żądnych nowej nauki.

Najciekawiej dopytywano się, czy to prawda, że ich kości zmartwychwstaną; doszła ich wiadomość o tej nauce już od innych wyspiarzy i zainteresowała ich najbardziej. Już to doprawdy uderzającem jest zjawiskiem, które każdego myślącego zastanowić musi, że dogmat o »zmartwychwstaniu ciała« jakiś pociągający urok wywiera na ludzi »dobrej woli«, a strachem przejmuje wszystkich starych i nowych »Saduceuszów«.

Missyonarzom bardzo było na rękę pytanie tego rodzaju, bo odrazu mogli rozpocząć naukę wiary — opowiadając o tym wielkim a jedynym Bogu, który wszystko stworzył tak samo jak człowieka — o upadku pierwszych ludzi a ztąd i całego ludzkiego rodzaju; o karze za to — potrzebie odkupienia i Odkupicielu, a nakoniec o sądzie i o zmartwychwstaniu.

Z takiem zajęciem i skupieniem słuchano missyo-

narzy, że zdawało się, iż poczciwi ci dzicy dech w sobie zapierają, by żadnego słowa z nauki nie uronić, a kiedy się skończyła, można było widzieć, jak wszyscy starali się żegnać na wzór missyonarzy. Był to dzień pierwszy tego duchowego stworzenia, jakiego Bóg dokonywał na wyspie.

Nazajutrz, nim jeszcze świt poranny purpurą i złotem oblał przestwory Oceanu, już tłumy dzikich otaczały chatkę missyonarzy zabierających się właśnie do odprawienia pierwszej tutaj Najświętszej Ofiary....

Przed mszą świętą odśpiewali missyonarze samowtór *Veni creator*, a następnie powiedzieli naukę o konieczności odkupienia ludzi z ich grzechowej niewoli i o tym miłosiernym Bogu, co się aż na śmierć krzyżową ofiarował, żeby zbawić biednego człowieka. Przy tej sposobności pokazywali piękny wizerunek Ukrzyżowanego Zbawiciela ciekawym wyspiarzom, a ci na zabój cisnąc się do jego oglądania, widoczne okazywali wzruszenie na widok takiej miłości.

— O, dziwny ten Bóg! — powtarzali raz po razu. — Jaki On dobry bardzo!...

Kiedy O. Caret stanął w ornacie kapłańskim u przygotowanego naprędce ołtarza, szmer podziwu przeszedł po zgromadzonych tłumach a Jego królewska Mość, Maputeo, siadł sobie na ziemi koło samego księdza, co się stało przyczyną sceny bardzo zabawnej.

Kiedy bowiem O. Caret rozpoczął *Introibo*, począł Maputeo różne zadawać mu pytania. Milczał zrazu kapłan lub gestem ręki dawał mu do zrozumienia, że teraz nie wolno mówić.

— Co to jest? Co to jest? — wołał Maputeo.

— To największa modlitwa do prawdziwego Boga — odparł krótko O. Caret i ze skupieniem dalej chciał się modlić.

— A czemuż ty oczy zamykasz?

Kapłan nie zważał na pytania.

— Czy ty naprawdę zamykasz oczy? — wołał poganin.

Tu już nie było innej rady, jak kazać mu milczeć; i tak się też stało.

Jakiś czas król siedział cicho i z natężoną uwagą przyglądał się wszystkiemu; ale gdy O. Caret zabierał się do *Ofiarowania* i w tym celu odkrył przygotowany kielich, Maputeo nie mógł już dłużej pohamować ciekawości i podszedłszy do ołtarza chciał zaglądnąć do kielicha. Dopiero stanowczy rozkaz księdza zmusił ciekawego króla do powrotu na swoje miejsce.

Po mszy świętej rozdano dzieciom pisane alfabety i rozpoczęto pierwszą szkołę, a między dziećmi znalazł się znowu Maputeo. Podczas nauki, kiedy śród gwaru najrozmaitszych pytań i odpowiedzi i Maputeo przyglądał się pisanym literom a nie mógł sobie z niemi dać rady, zwrócił się do O. Caret, stojącego o jakie dwa kroki zaledwie, i w tonie rozkazującym zażądał, by się tenże doń zbliżył dla wytłumaczenia mu trudnego miejsca w alfabecie.

Wiedział doświadczony missyonarz, że ludzi tego rodzaju tylko niewzruszoną stanowczością utrzymać można na wodzy, dlatego z krwią najzimniejszą odparł:

— Jeżeli chcesz, to przyjdź do mnie!

Na to z całego gardła począł krzyczeć Maputeo. Wszyscy przerażeni zamilkli wyczekując, co z tego będzie, ale O. Caret odrzekł niezmieszany:

— Missyonarz prawdziwego Boga nie umie bać się; jeżeli chcesz, to przyjdź i zapytaj.

Ta stanowczość i imponujący spokój skutkowały; Maputeo zapomniawszy o swym gniewie, wstał, zbliżył się i tak jak inne dzieci, uczył się liter i znaku krzyża

świętego. Było to chwilowe tylko ugłaskanie tego dzikiego despoty.

Nazajutrz odwiedzono Mangarewę. Prócz dzieci, które dziwnym jakimś instynktem niewinnych serc zawsze pierwsze garnęły się do księży, mieli tam oni bardzo wpływowego przyjaciela; był nim sam Matua czyli wielki kapłan pogański i zarazem wuj króla. — Poznali go już dawniej na Akenie, gdzie ich był nawiedził; teraz więc bardzo mile zostali od niego przyjęci, a nawet prosił ich, by się raczyli pomodlić nad jego maleńką a chorą wnuczką, na co chętnie przystano. Sam Matua dopytywał się o »zmartwychwstanie umarłych« i uczył się znaku krzyża świętego.

Znaleźli się tedy missyonarze nad wszelkie spodziewanie w prawdziwej świątyni pogańskiej obstawionej różnemi bożyszczami, pomiędzy któremi spoczywał sobie najspokojniej zasuszony jakiś nieboszczyk; przed obrzydliwemi posągami bożków leżały różne ofiary a zwłaszcza śliczne kawałki koralowe, w które obfitują wyspy Gambier, powstałe przeważnie z koralowca (zobacz rycinę na str. 89). Tutaj mieli Ojcowie noc przepędzić obok chorego dziecka. Pokropiwszy cały ten przybytek szatański wodą święconą, udzielili chrztu św. dziecinie, dając mu imię Maryi Anny. Nad wszelkie tedy spodziewanie nową pozyskali Jezusowi służebnicę i to w samem ognisku bałwochwalstwa.

Jeszcze spali w hamaku, sporządzonym ze żagla ich łodzi, kiedy ich zbudziły przeraźliwe krzyki. To Pomotowie sąsiedni wpadli na wyspę i obcesem chcieli zabierać wyspiarzom ich *mei* czyli owoc chlebowcowy i inne zapasy. Hałas, rwetes i przekleństwa napełniały powietrze; coraz większe tłumy zbiegały się na znak dany z dalszych osad, noże i włócznie poczęły błyskać, a co gorętsi wojownicy rzucali się w wir bitwy

z bronią albo pięściami i szamotali się z przeciwnikami ze wściekłą złością lub tarzali po piasku w morderczych zapasach. Krew płynęła na dobre i nie wypadało czekać ani chwili, zwłaszcza, że tysiąc niemal Mangarewian otoczyło 26 Pomotczyków.

W mgnieniu prawie oka byli już missyonarze na placu boju, a białe ich sutanny i ich powaga wiele się przyczyniły do uśmierzenia walki. Wzięli się tedy do roli »rozjemców«. Nasamprzód obu stronom odebrali włócznie, a następnie jęli się wywiadywać o przyczynach waśni; przekonawszy się, że li tylko z głodu szarpnęli się Pomotowie na cudzą własność, kazali im oddać zabrane rzeczy a Mangarewian prosili, by ci sami z dobrego serca chcieli się przecie użalić nad ich nędzą i dać im, co mogą.... Nie można było lepiej sobie postąpić, a wyrok ten nietylko chętny znalazł posłuch, ale jeszcze zjednał missyonarzom serca Mangarewian, a na wyspy Pomotów miał kiedyś pierwszą utorować drogę.

Inaczej myślał Maputeo.

III.

Nagroda ofiarności. — Niespodziewane przeszkody i powodzenie.— Obalenie bożków na Mangarewie. — Bałwochwalnia zamieniona w kościół i pierwsza msza święta — Biskup królem.

Kiedy cała nieomal wyspa wdzięcznością rozbrzmiewała dla »białych« missyonarzy, jej król, zaślepiony czciciel bałwanów, szukał sposobu, jak się pozbyć Ojców i jak dokuczyć staremu Matui za to, że im tak żywą okazywał przychylność. Koło zapamiętałego króla gromadzili się już to pochlebcy — jak zwykle bywa w takich razach — już to czciciele bałwanów;

a nie brak ich było na Mangarewie, a nawet i na Tarawai. Niedawno temu ostrzeżono missyonarzy, by się mieli na ostrożności przed nimi i przed królem Maputeo, który umyślił ich zabić i wcale uzasadnione były obawy jednego z Ojców, który pisał w tym czasie, że zrezygnowani są jeźli nie słowem, to krwią swoją zaszczepić wiarę świętą na tej pogańskiej wyspie.

Tem milszą dla nich było tedy niespodzianką, kiedy powracając z wybrzeża, gdzie się przed chwilą krwawa z najezdczymi Pomotami rozegrała tragedya, spotkali starego Matuę, jak z otwartemi witał ich ramiony, dziękował za wyświadczoną przysługę i swoją świątynię bałwanów na usługi oddawał.

— Zostańcie tutaj — mówił rozczulony starzec — i założcie tu swą szkołę.

— Czemu nie? — odparli Ojcowie — najchętniej zgadzamy się na to, ale wyrzuć posągi fałszywych bożków, usuń owego trupa, wynieś łóżka i oczyść dom cały, a natomiast posyp wszystko świeżym piaskiem.

Na wszystko przystawał pogański arcykapłan.

Nie mogli na razie inaczej uczynić Ojcowie, a przecież wypadło im później żałować, że natychmiast nie wyrwali szatanowi tej twierdzy. Trzy dni przeczekać musieli na Akenie już to dla słoty, już dla braku wioślarzy, nim znowu potrafili wybrać się na Mangarewę. W samej nawet już przeprawie zdawał się szatan stawać na przeszkodzie, bo nieszczęsnym zwrotem łódź uderzyła o skały i pękła a ster się zdruzgotał. Mimo to udało się nieustraszonym kapłanom dostać się na Mangarewę. Przed nimi — jak ongi w bitwie przed Machabeuszem — musiał iść chyba zwycięzki św. Michał Archanioł, w którego opiekę oddali byli niegdyś bałwochwalczą tę wyspę: bo skoro tylko przybili do brzegu, miasto wrogich stronników Maputea napotkali tłum

życzliwych wyspiarzy, który wieńcem otoczywszy Ojców, zwiększał się ustawicznie po drodze do świątyni Matuy.

— Będą lud uczyć! będą lud uczyć! — szeptali z widocznem zaciekawieniem.

W sam raz spotkano Matuę i kazano mu iść za sobą. Wnet zjawił się i Maputeo; obadwaj bez trudności usłuchali rozkazu; w takiem otoczeniu przybyto do domu Matuy.... Nie stawił się jednak Matua w danem słowie, bo chociaż kazał wynieść owego zasuszonego trupa, to przecież i bożki i wszystkie inne rzeczy zostały na miejscu.... Na ten widok missyonarze ani kroku nie chcieli zrobić dalej.

— Czekać będziemy — rzekli do niego spokojnie — nim spełnisz dane przyrzeczenie. Nie wyrzuciłeś bałwanów.

— I nie wyrzucimy — odparł na to król Maputeo w tonie uporu — to dobre dla nas i to jest *tapu* (czyli »święte«). Musi tak zostać.

— A otóż wyrzucicie — rzekł głosem silnym i stanowczym O. Caret, a następnie z taką natchnioną i druzgocącą powagą jął mówić, że jedni w niemem słuchali milczeniu a drudzy — bojąc się Maputea — raz po raz prosili Ojca Lawala, by go pohamował.

Nie nadarmo jednak mówił O. Caret; uparty król począł wchodzić w układy.

— Ależ — odezwał się wreszcie — jeżeli je ztąd wyrzucimy, to gdzież je umieścimy?

— W ogniu — odparł spokojnie kapłan. — Możecie sobie przy nich gotować *tioho* i ryby i *mei*.... Przynieście mi siekierę!

— Nie mam — odpowiedział Maputeo.

— Jesteś królem — rzecze O. Caret — to możesz kazać tylko, a zaraz ją przyniosą.

Na to Maputeo pewnym ruchem ręki wskazując jednego z obecnych, dał poznać, że on ma siekierę.... Przyniesiono ją nakoniec, choć nie bez trudności. Na to tylko czekali Ojcowie.

Podali ją królowi, by pierwszy dał przykład dobry swym poddanym; ten jednak żadną miarą nie dał się nakłonić, by rąbać miał własną ręką, do czego tak był przylgnął. Za to jeden z grona przytomnych wystąpił ofiarując się go wyręczyć w tej mierze.

Bożyszcza owe były to wielkie i ciężkie belki drzewa, na których szczycie wyrzeźbione były niewprawną ręką ohydne jakieś ludzkie postacie. Nasz śmiałek rąbiąc takiego jednego potwora z wielkim zamachem, niezręcznem jednem uderzeniem powalił go na siebie i upadając pod jego ciężarem wywichnął sobie nogę. Strach ogarnął missyonarzy, by zabobonni poganie nie wzięli sobie tego za pomstę swoich bogów; ale na szczęście zachował ich Pan Bóg od tego, a na miejsce pierwszego zucha natychmiast stanął drugi, który nietylko pierwszego bałwana porąbał, ale jeszcze trzy inne.

Trzeba było widzieć dobroduszne i wystraszone miny naiwnych wyspiarzy. Cały czas, kiedy rąbano te szkaradne bożyszcza, powtarzali z niekłamanem ubolewaniem:

— Biedny Aruino!... A to go musi boleć!...

Zostały jeszcze dwa bałwany. Ponieważ atoli zbyt były wysokie, zarzucono im powrozy na szyje i przytrzymano z przeciwnej strony, żeby pod cięciem siekiery nie powaliły się na kogo z obecnych.

Po ukończeniu tego najtrudniejszego zadania, można było naprawdę swobodniej odetchnąć: z temi albowiem bałwanami, które stanowiły *palladyum* całego archipelagu, padało niejako królujące tu dotychczas pogaństwo. Przytomni wyspiarze widząc nieudolność swo-



Wyspy Gambier. — Jedna z małych wysepek koralowych, objaśniająca swoją formacyą sposób tworzenia się wysp tego rodzaju.

ich bogów, stracili odrazu w nich wiarę; młodsi mimowoli śmiać się poczęli, starsi stali zadumani. Wypadało jeszcze uprzątnąć plecione łoże arcykapłana i inne sprzęty, a kiedy oczyszczono cały budynek, missyonarze poświęcili wobec wszystkich obecnych to miejsce dawnego bałwochwalstwa: na miejscu świątyni szatana stanęła w ten sposób Boża świątynia pod wezwaniem św. Michała Archanioła, a na jej ołtarzu odprawiła się zaraz pierwsza bezkrwawa a Najświętsza Ofiara na zadośćuczynienie za popełniane tu dawniej zniewagi i na uproszenie łaski nawrócenia reszcie pogańskich wyspiarzy.

Po ewangelii odwrócił się kapłan do przytomnych pogan i oznajmił im, że to miejsce jest odtąd w najwyższy sposób *tapu* (to jest poświęcone) i że odtąd żadna noga ludzka nie śmie tutaj stąpić, jak tylko dla oddania hołdu prawdziwemu i jedynemu Bogu.... Po mszy świętej otwarto szkołę i pierwsze wykłady, a pośród cisnących się na naukę pogan znalazł się znowu i król Maputeo tak, jak to miało miejsce już pierwej na wyspie Tarawai.

Zwyciężył tedy Wielki Archanioł.... *Któż, jak Bóg?...*

Teraz wypadało przystąpić do najważniejszego aktu, to jest do chrztu świętego tych wszystkich z pomiędzy licznych katechumenów, którzy już najlepiej byli przygotowani. Kiedy atoli przybędzie upragniony X. biskup Rouchouse?... On sam pragnął dopełnić najmilszego tego obrzędu na wyspach, które stały się pierwszem polem apostolstwa młodego Zgromadzenia Najświętszych Serc Jezusa i Maryi, ale przeprawa z wybrzeży chilijskich wielkim podlegała trudnościom. Pracowano tymczasem, a Pan Bóg starał się o resztę.

Na wyspie Akamaru znaleziono 152, których

można już było do chrztu świętego przypuścić; na małej Akenie 35. Właśnie siedzieli missyonarze pośród takich wybrańców z Akamaru, kiedy z wybrzeża przybiegł jakiś starzec, wołając zadyszany:

— Okręt! okręt!

Serca wszystkich zabiły radośnie. To nie towary przywoził im pewnie nadchodzący statek, ale tego »Wielkiego Pańskiego kapłana«, co miał ich szczęśliwemi »dziećmi Bożemi« poczynić. Wszystko, co żyło podążyło na brzegi.... Rzeczywiście na widnokręgu widać już było kołyszący się okręt, co z białemi swojemi żaglami przesuwał się po falach Oceanu, jak gołąb lub mewa szybująca z rozpiętemi skrzydły.... Nie długo trzeba było czekać, a pierwszego biskupa Oceanii przyjęły uściski apostolskich jego współbraci i radosne okrzyki uszczęśliwionych wyspiarzy. Od starca aż do dziecka podawano sobie z ust do ust nowinę po wszystkich czterech wyspach, że *Tepano* przyjechał!... (Tak przemieniono imię X. Biskupa, który zwykł się był podpisywać jednem słowem »Stefan«). Przybyli zarazem jako pomocnicy w pracy OO. Maigret i Liansu. Ten ostatni, chcąc się stać jak najpożyteczniejszym dla missyi, ukończył fakultet medyczny w Paryżu, gdzie słuchał najlepszych lekarzy.

Było to w maju 1836 r. w wilią Opieki św. Józefa. Wieczorem dnia tego przytomny był X. Biskup przygotowawczej nauce, a nazajutrz o świcie przeprawił się z kapłanami na Akenę, gdzie była właściwa siedziba missyonarzy; tam nasamprzód chciał odprawić Najśw. Ofiarę.... Jakiż był podziw i jakie okrzyki tych prostaczków, kiedy ujrzeli Biskupa w jego obrzędowych szatach a nadewszystko w złocistej infule i z takimż pastorałem!... Dnia następnego wyspa Akamaru tego samego miała szczęścia dostąpić.

Już zdala przed oczyma nadpływających czerniły się brzegi od licznie zgromadzonych mieszkańców, a kiedy wylądowano, każdy pragnął jak najbliżej przysunąć się do tego »Wielkiego białego«; a jeszcze uroczyściej odbyły się tu wszystkie obrzędy, niż dnia wczorajszego na Akenie. Zaledwie Monsignor ubrał się w szkole w swoje szaty biskupie i w rękę ujął błyszczący w świetle słonecznem pastorał, zanucił *Veni creator*, a na znak dany przez missyonarzy ruszyła z miejsca naprędce urządzona i pierwsza processya. Nigdy jej nie widziano tu jeszcze, a przecież z taką wprawą zrozumiano wskazówki kapłanów w tej mierze i z takim wykonano je porządkiem, że i w Europie nieraz powstydzićby się musiano wobec tych wyspiarzy, którzy z całego serca Bogu swojemu i jego zastępcy cześć winną oddać pragnęli. Tak samo odprowadzono X. Biskupa do domu. Ale na tem nie koniec.

Zwyczajem było na wyspach, że kiedy uczcić kogo chciano w sposób najwyższy, ogłaszano go »królem« i znoszono mu dary, nie uchybiając przez to prawom właściwego króla; tym samym zaszczytem postanowili teraz wywzajemnić się kochanemu swojemu *Tepano*.... Na dany znak przez naczelnika cała zgromadziła się wyspa; jedni dźwigali kokosowe orzechy, drudzy trzcinę cukrową, to znów chlebowcowe owoce albo *tioho*. Ustawiono tron, to jest położono grubą belkę na poprzek na dwóch wielkich głazach i pokryto to wszystko kilkoma *tappami*, a kiedy ta wspaniała stolica była gotową, musiał zasiąść na niej »Tepano« z missyonarzami i katechistami. Teraz dopiero jeden po drugim przychodząc składał mu u nóg swoje proste ale szczere ofiary. Na to powstał X. Biskup i dziękując za dobre serce i podarunki, kazał wszystko zachować na czas przednowku, im zaś rozdzielił po kawałku perkalu.

Ledwie skończyła się ta ceremonija, kiedy z Mangarewy nadpłynęła deputacya ze starym arcykapłanem na czele; i tam chciano także mieć u siebie i powitać »Wielkiego białego«. Oczywiście, że nie można im było tego odmówić, a jaką im to sprawiło radość i z jakim zapałem tam się ponowiła ceremonija »obwołania X. Biskupa królem«, posłuchajmy jego własnej opowieści:

»I na Mangarewie musieliśmy po mszy św. poddać »się tak samo »elekcyi«. Nasamprzód przyniesiono po- »darunki od króla, potem od jego wuja Matuy, który — »jako arcykapłan bałwanów — większą jeszcze od niego »posiada tu powagę. Król usiadł sobie przy mnie, a »drżał jak liść na drzewie (jest bowiem ogromnym »tchórzem i w tej samej mierze boi się missyonarzy, »w jakiej ich nie lubi); nie zdołał tedy wytrzymać do »końca. Tymczasem wciąż znoszono nam dary, a lubo »dość wysoko siedziałem z Ojcami, to przecież mimo »to wnet sięgał nam ten stos bananów, orzechów ko- »kosowych, *tioho*, *majore* i trzciny cukrowej aż ponad »samą głowę. Musieliśmy wstać i usunąć się, ale nic »to nie pomogło, bo ta sama obfitość darów nas ści- »gała a nawet większa, tak dalece, żeśmy się rękami »i nogami bronić przed nią musieli [1]). Udało się nam »wprawdzie zrobić koło siebie barykadę z *tapp* i z pak »trzciny cukrowej, a przecież nie wiele brakowało, żeby »ta barykada ustąpić musiała przed naciskiem mnóstwa »prezentów. Po skończeniu wszystkiego objawiłem im »wielką wdzięczność za to i dodałem, że — ponieważ »nie mogę spożyć tego wszystkiego — chcę przeto, by »pochowano te rzeczy na później«.

---

[1]) O. Laval objaśnia jeszcze lepiej tę okoliczność w swoim liście, dodając, że ponieważ rzucanie tych darów z wielkim zamachem ma być miarą szczerości: przeto ofiarujący z takim to robią zapałem, że łatwo i nogi mogliby nowemu połamać »królowi«.

Wnet spotkała missyonarzy milsza nad cały ten stos darów i nad to królowanie niespodzianka. Sędziwy Matua, ujęty już to uprzejmością Ojców, którzy zmarłej a ochrzczonej jego wnuczce wspaniały sprawili pogrzeb, już to uroczystością obrzędu, obciął swoje długie włosy, znak arcykapłańskiego urzędu i wraz z żoną prosił o przyjęcie go na łono świętej wiary. Co za radość dla Ojców i wszystkich katechumenów!

Opierał się jeszcze król Maputeo z rodziną i zwolennikami, a na Mangarewie stała jeszcze najgłówniejsza bałwochwalnia a w niej osiemnaście bałwanów.

I na nie przyszła kolej....

IV.

Bierzmowanie na Akenie i Akamaru. — Processya. — Zapał i naiwność nowych chrześcijan. — Apostolska praca na wyspie Tarawai i jej skutki. — Pogrzeb na Mangarewie i nawrócenie całej wyspy wraz z królem.

Ponieważ X. Biskup Rouchouse rozporządzał teraz większą liczbą missyonarzy a nawet i Braci zakonnych; mógł przeto nawrócone wyspy nimi obdzielić. Akamaru dostała Ojców Caret'a i Maigret'a, Ojcowie Laval i Cyprian Liansu zamieszkali na Mangarewie, a sam Biskup z trzema świeżo przybyłymi Braćmi założył swoją rezydencyę na Akenie. Teraz dopiero rozpoczął się z dawna upragniony chrzest tych, którzy doń już przygotowani byli dostatecznie. Posłuchajmy, jak nam to opisuje naoczny świadek i współ-apostół tych wysp, O. Laval:

»W uroczystość Najśw. Panny »Wspomożenia wiernych« wielka liczba neofitów z Akeny odrodzoną została w chrzcie świętym, następnie zaś otrzymała św. Sakrament Bierzmowania, a po największej części

i małżeńskie związki po chrześcijańsku zawarto. Ceremonije te odbyły się z jak największą okazałością, na jaką tylko stać nas było; brakło tylko obszernej katedry i asysty licznego kleru obok okazałych chórów.

»X. Caret z O. Dezyderym udał się na wyspę Akamaru, by tam dokończyć potrzebnych przygotowań; ja zaś z O. Cypryanem popłynęliśmy na wielką wyspę, by »gotować drogi Pańskie«. Nie jestem Janem Chrzcicielem, Pan Bóg wszelako raczył z nami wespół pracować.

»Nauczaliśmy w świeżo urządzonej szkole w miejscu, gdzie stała dawniej bałwochwalnia Matuy. U wejścia leżał tam wielki głaz, którego przedtem nie mogła się dotknąć noga kobiety i teraz tedy pozostała w nich jeszcze cząstka owej zabobonnej trwogi, wstrzymując je od słuchania Bożego słowa. Zwyciężyła atoli łaska Boża, odważyły się wejść do naszego kościółka, a tenże tak szybko napełnił się słuchaczami, że już ich liczby nie był w stanie pomieścić.

»Na wyspie Akamaru chrzty liczniejsze były niżeli na Akenie, a nie widziałem jeszcze nigdy nic równie rzewnego, jak chrzest dzieci; odbył on się podczas mszy świętej odprawianej przezemnie. Do dziś dnia nie mogę zapomnieć owej słodkiej pociechy, jaką przepełniony byłem słysząc te cienkie głosiki dziecięce powtarzające płynnie i śmiało »Ojcze nasz« i »Skład apostolski«, a odpowiadające tak jasno na wszystkie stawiane im pytania.

»Wieczorem odbyło się Bierzmowanie tych nowych chrześcijan.... Kościółek nasz szczupły nie pozwalał nam na rozwinięcie odpowiedniej okazałości, a noc nas zaskoczyła, nim się wszystko skończyło.... Przy blasku księżyca wracaliśmy śpiewając uroczyste *Te Deum*. Processya przepysznie się udała; długi łań-

cuch wiernych — mężczyźni po prawej stronie a niewiasty po lewej — postępował ze skromnością i w skupieniu ducha, a na czele niesiono krzyż Pański. Aby lepiej utrzymać się w parach, podano sobie dłonie, a mężczyźni pospuszczawszy swe włócznie, utworzyli z nich jakby barierę, która zabezpieczała porządek, kiedy trzeba było przechodzić przez bananowe gaje....

»Nazajutrz odbyła się generalna komunia, w czasie której ponowiono uczynione już na chrzcie świętym »zadośćuczynienie« Panu Bogu za dawne grzechy tych wysp. Wszyscy z wielkim zapałem powtarzali te akty miłości i żalu za Ojcem Caret, a z oblicza i postawy tych biednych dzikich taka odbijała skromność i takie nabożeństwo, że i najpobożniejsze osoby we Francyi nie zdobyłyby się na więcej.

»Wkrótce potem miałem szczęście zapisać w liczbę katechumenów resztę pogan wyspy Akamaru a pośród nich najzaciętszego dotychczas pogańskiego jednego kapłana.

»Uczyłem teraz i przyzwyczajałem moich chrześcijan do odpowiedniej modlitwy w różnych okolicznościach życia i dnia każdego, i do tego, jak wchodzić do kościoła, jak się w nim zachowywać i jak zeń wychodzić. Nagliłem wszystkich, by koniecznie chodzili teraz przyzwoicie okryci i widziałem z radością, że wszystkie te nauki padały na ochocze serca. Cała wyspa zajętą była teraz robieniem *tappy* na potrzebne odzienie.

»W kościele urządziłem siedzenia; oczywiście, nie były to ławki wygodne, ale proste pniaki; każda atoli rzecz musi mieć początek i przedtem chcemy serca wystroić, nim wystroimy kościółek. I czyż to nie wielka pociecha widzieć, jak ci ludzie — niedawno temu dzicy i ludożercy — wchodzą do kościoła ze czcią największą,

żegnają się wodą święconą, klękają nabożnie przed Najświętszym Sakramentem i zatopieni w modlitwie uczestniczą w Najświętszej Ofierze! Umieją już doskonale modlitwy odpowiadające różnym częściom Mszy świętej; podczas Podniesienia padają na kolana, a po Podniesieniu odmawiają akty wiary, nadziei i miłości. Msza święta kończy się zawsze odśpiewaniem jednej z pieśni ułożonych w ich języku, a następnie słuchają wszyscy nauki. Nowe to źródło pociech dla nas, kiedy widzimy, z jaką chciwością ci gorliwi neofici nadstawiają ucha i jak słowo w słowo starają się zapamiętać wykład katechizmu, choćby nawet przerwać mieli i głośno zapytać lub publicznie szukać wyjaśnienia tak nieraz naiwnych swoich wątpliwości. A po wyjściu z kościoła jakże missyonarzowi serce mocno bije od radości, gdy się przysłuchuje owym wspólnym modlitwom rodzinnym, w których z jak największą powagą przoduje ojciec lub matka.

»Za dnia wszędzie się rozlegają pobożne pieśni w miejsce dawnych pogańskich lub bezwstydnych; wszędzie napotkać możesz ludzi uczących się pacierza i takich, co drugim pomagają w tej nauce. Co kto usłyszał z ust kapłana, tem się zaraz zwykł dzielić z drugimi, a nikt nie potrafiłby wziąć do ust ani owocu, ani kropli wody, nie zrobiwszy wprzód znaku krzyża świętego. Biedny ludku! czemuż ty nie masz liczniejszych kapłanów?

»Kiedy przebiegam wyspę, by odwiedzić mych chrześcijan, bywam ze wszystkich stron oblegany, bo każdy chce, by mu przypomnieć jego imię chrzestne, i setki razy muszę zaglądać do notatek, by módz każdemu zadosyć uczynić. Często wzywają mnie, żeby rozstrzygać spory, rozwięzywać trudności, albo objaśnić jakąś prawdę, której tłómaczenia sobie zapomnieli....

A trzeba wiedzieć, że nieraz odmienne li tylko wymówienie tego samego wyrazu zmienia jego znaczenie najzupełniej. Ale, choć my wielkie mamy ztąd trudności, to zapał i dobra wiara naszych chrześcijan ułatwiają im zawsze zrozumienie.

»Jasno naprzykład pojmują to sami, że jedna musi być tylko nauka katolicka.

— Tawaro — rzecze mi jeden — (bo takim mnie ochrzcili imieniem), wszak jeden jest Bóg, a więc mowę ma jedną.

»Nieraz za daleko nawet posuwają naiwność swoich szkrupułów. Poczciwa jedna matka, która — zwyczajem wyspiarek — zwykła była dotychczas nosić swe dzieci na plecach, przyszła do mnie po chrzcie świętym, mówiąc:

— Ty wiesz, Tawaro, że Tepano (t. j. X. Biskup Stefan Rouchouse) przy chrzcie zrobił mi namaszczenie olejem świętym na plecach: są one teraz *tapu* (to jest święte) w tem miejscu. Czy się godzi nosić na nich moje dziecko?...

»Właśniem ukończył był me prace na wyspie Akamaru, kiedy mnie X. Biskup w tym samym celu wysłał na Akenę. Opowiadał mi o wyprawie swojej na Mangarewę i o postępach wiary świętej tamże; wyjąwszy króla i jego zwolenników, wszystko — z poczciwym starym Matuą, dawnym arcykapłanem, na czele — tłukło bałwany i owe ofiary, zwłaszcza z korali, jakie im przedtem składano. Nawet mieszkańcy Akeny z własnej gorliwości pomagali im w tej sprawie, a gdybym był nie powstrzymał wyspiarzy moich z Akamaru, to byliby bez wyjątku powsiadali na swe *pahi-pahi* i w tym samym celu popłynęli na Mangarewę, aby pomagać sąsiadom tłuc bożków.

»Teraz i na Akenie urządziliśmy pierwszą komunię

świętą; piętnaście osób z pomiędzy osób niedawno ochrzczonych dostąpiło tego największego szczęścia, za którem od dawna i z upragnieniem wzdychali. I przy spowiedzi i przy Stole Pańskim dawali dowody najtkliwszej pobożności. Na wychodnem z kościoła spotkałem żonę jednego z naczelników wyspy; zaledwie mnie ujrzała, przybiegła do mnie, aby mi powiedzieć, że bardzo jest zadowolona.

— O wierzę ci — odpowiedziałem jej na to — wszak Syn Boży wziął w posiadanie twe serce. Teraz jest w niem i mieszka, jak w swoim pałacu. Jakżeś ty szczęśliwa!

— Ah — odparła mi — bardzo jestem szczęśliwa, mój Ojcze!... I po skromnie zapłonionem jej obliczu spłynęły wielkie łzy najsłodszej radości.

»Od tego dnia pobożna ta i gorliwa chrześcijanka przystępowała regularnie do Stołu Pańskiego z skromnością i zapałem, przypominającym chyba świętych Aniołów. Podczas choroby zaś, w jaką zapadła, rozmawiała tylko o niebie i poddaniem się woli Bożej budowała wszystkich«.

X. Biskup Rouchouse z Ojcem Caret'em i dwu innymi missyonarzami, udał się na wyspę Tarawai, zaproszony przez naczelnika. Tutaj powtórzyło się to samo, co na Akenie i na Akamaru, gdzie bogów swoich zjadano *in effigie*, z tą tylko różnicą, że każdym razem, kiedy przystąpić miano do spełnienia tego wyroku, jeden z dzikich występując wołał zawsze donośnym głosem:

— Jaki kawałek upieczemy teraz?...

Na to krzyki otaczających oznaczały tego lub owego bożka, a cała rzesza urządzała rodzaj pochodu w takt miarowy; zbliżywszy się wreszcie do pieca, gdzie

się piekła »imitacya« bożka z ciasta *tioho*, i z wielką a dziką energią pochyliwszy się ku niemu, wołali wszyscy:

— *Kaj ku ke, matake!... Koru! koru!* (Co miało znaczyć: Zjedzmy tego człowieka obcego i te oczy obce dla nas! Słowa *koru! koru!* były tylko rodzajem wykrzykników oznaczających entuzyazm).

Każdy z obecnych występował z krótką przemową a pełną gwałtownych gestykulacyj, na którą zawsze odpowiadano owem: *Kaj ku ke, matake! Koru! koru!* a kiedy tę scenę powtórzono nad wszystkiemi bożyszczami, urządzono wspólną ucztę, którą im missyonarz musiał pobłogosławić, oni zaś odśpiewali pieśń pobożną.

Na Akamaru tymczasem otrzymało znowu chrzest święty i Bierzmowanie 37 osób; byli to sami starcy, liczący prawie po 80 lat wieku; na Akenie czekał na tę łaskę jeszcze liczniejszy zastęp....

Śmiało można powiedzieć, że mało kto byłby w stanie odgadnąć, jaka obecnie troska najbardziej dolegała sercom missyonarzy. Brakowało im — płótna. Napróżno przeszukiwali missyonarze wszystkie swoje rzeczy, krajali, odmierzali, sztukowali i szyli, napróżno ostatnią poświęcali bieliznę: wszystko to było za mało. A przecież tak niewiele tego płótna trzeba było dla każdego.

»Czy pojmujecie — pisze O. Laval — co to za boleść ściska nasze serca, kiedy przy chrzcie świętym, kładąc białą szatę na naszych najdroższych neofitów i mówiąc: *Accipe vestem candidam* i t. d. (Przyjmij tę białą szatę i t. d.) — nie możemy im zostawić tego symbolu ich obecnej niewinności, jedynie dla tej przyczyny, że nas nie stać na tyle najlichszego perkalu.... Sam nawet X. Biskup nie mógł się od łez powstrzymać, w takich okolicznościach.

»Ostatniemu np. z dziatek miał X. Biskup udzielić chrztu świętego; tymczasem żadną miarą chłopczyna nie chciał się nakłonić do tego, by stanąć przed księdzem Biskupem. Napróżno wzywaliśmy go giestem i słowy; dziecko wzbraniało się usłuchać: nie wystarczyło już bowiem dla niego białego płótna na przepaskę. Stojące koło niego osoby, chcąc temu zaradzić, pożyczyły tej przepaski od innego dziecka; chrzest natychmiast się odbył bez trudności, ale za to tamto drugie znowu pachole obrane z przepaski, ze wstydem i płaczem uciekło, by się ukryć przed ludźmi«.

Kiedy już całe dwie wyspy weszły do Chrystusowej owczarni, na Mangarewie wyczekiwało na łaskę chrztu świętego czterystu pięćdziesięciu katechumenów.

Właśnie kończyły się święte obrzędy na Akenie, kiedy wieść przyniesiono z Mangarewy, że umarła tamże jedna z ciotek króla Maputea. Była ona matką wzorowego chrześcijanina, nazwiskiem Matuaiti, lecz sama i reszta rodziny pogańską. W godzinę atoli śmierci zapragnęła chrztu świętego i umarła chrześcijanką. Następnego dnia cała rodzina zachorowała oprócz pobożnego syna. To dopiero strachem przejęło króla z natury bojaźliwego i zniewoliło go do zbliżenia się do chrześcijan, a kiedy jeszcze Biskup i missyonarze sprawili zmarłej ciotce wspaniały pogrzeb chrześcijański, wówczas poczęły stanowczo topnieć lody w tem sercu, tak długo głuchem na głos łaski. Maputeo przybył na pogrzeb wraz ze starym Matuą, a O. Caret ujrzawszy ich obok siebie w kościele na Mszy świętej, zwrócił się ku nim po ewangelii i w stosownej przemowie stawił przed oczy obowiązki króla i poddanych; zakończył zaś tem zdaniem, że jak z jednej strony powinnością jest króla żyć dla dobra swego ludu, tak znowu świętym jest obowiązkiem każdego z poddanych — a przedewszyst-

kiem pierwszego z pomiędzy nich, Matuy — słuchać swojego króla.... Po tej rzewnej mowie obaj długoletni przeciwnicy rzucili się wzajemnie w objęcia; następstwa tej zgody wnet się okazały. Ustała zawiść, pogańskie stronnictwo straciło grunt pod nogami, a wdzięczny król oddał największą świątynię pogańską missyonarzom, by z niej zrobili szpital dla ludu. Kiedy ośmnaście ogromnych bałwanów, *Sancta Sanctorum* całego niegdyś archipelagu, gorzało w płomieniach stosu, odnaleźli missyonarze w szczelinie świątyni ów obrazek Przenajświętszej Panny, jaki tam byli zatknęli w dniu swojego przybycia z tą pokorną modlitwą, by im raczyła przyjść w pomoc potężna »Królowa Apostołów«.

Wnet przyjęła chrzest święty żona króla Maputea on zaś kazał wybudować kościół katolicki na wyspie; z dniem każdym widać w nim było coraz wyraźniej dokonywującą się przemianę, aż wreszcie i tego szczęścia doczekali się missyonarze, że ten zacięty wróg chrzecijaństwa schylił swe czoło pod zbawczą wodę chrztu świętego. Na cześć panującego wówczas Papieża Grzegorza XVI, przyjął imię Grzegorza.

Taki przykład wymowniejszym był dla pogan, niż wszystkie nauki; przeszło tysiąc katechumenów stanęło przed missyonarzami prosząc o chrzest święty.

Odtąd spokój zapanował na wyspie; krzyż, który wysoko na skale wystawili byli niegdyś missyonarze, a który chrześcijanie Akeny i Akamaru zwykli byli witać już zdaleka modlitwą, rozpościerał teraz zbawcze swoje ramiona ponad ludem, który jednozgodnie spieszył szukać w nim »drogi i prawdy życia«.... Kiedy rok 1836 chylił się ku końcowi, cała już niemal ludność zwała się z chlubą »dziatwą Chrystusowego Kościoła«.

V.

Nawrócenie mieszkańców wyspy św. Krescentego. — Nowe życie na wyspach Gambier. — Cywilizacya, przemysł i szkoły. — Krajowe zakonnice i ich pracowitość. — Wyspy Gambier stają się rozsadnikiem wiary świętej po innych wyspach Oceanu.

W niewielkiej odległości od wysp Gambier leży wysepka św. Krescentego, zwana przez krajowców Moe. Największa część jej mieszkańców pochodziła z Mangarewy, a wyniosła się była ztamtąd przed laty dlatego, ponieważ w walce, jaką wiódł ich naczelnik z Mapurarą, dziadkiem króla Maputea, bali się, żeby przez zwycięzców — dawnym ich a strasznym zwyczajem — zjedzonymi nie byli.

Obecnie X. Biskup Rouchouse i o nich nie zapomniał; wywierając wpływ niejako wszechwładny na wyspach, za porozumieniem się z królem i naczelnikami, zawezwał ich, by wrócili na Mangarewę. Odwiedzili ją tedy i najserdeczniej przyjęci a zdumieni przemianą, jaką zastali, przysłuchiwali się z ciekawością wykładanej nauce wiary świętej: nowej atoli siedziby, lubo tak ubogiej i małej, opuścić już żadną miarą nie chcieli. Trzeba tedy było posłać im kogo, któryby ten lud skory do przyjęcia wiary Chrystusowej odpowiednio przygotował. Na razie dano im dwu katechetów krajowych, a X. Biskup Rouchouse obiecał, że ich sam kiedyś odwiedzi; czego też istotnie dotrzymał w r. 1838.

I tutaj — tak samo, jak i wszędzie, gdzie wielożeństwo przedtem panowało, a z niem niewola niewiasty — z wielką przychodziło pracą uporządkować stosunki małżeńskie wedle praw Chrystusowej wiary; powoli jednak pokonano tę największą trudność.

Niemniej i stosunek rodziców do dzieci pod cie-

płem tchnieniem wiary ukształtował się na zasadach chrystyanizmu, co musiało wpłynąć i rzeczywiście wpłynęło dodatnio i na stosunki społeczne.

Miejsce dawnego lenistwa zajęła teraz praca, do której i zachętę i wzór znajdowano w samych missyonarzach. Wspomnieliśmy już pierwej, że cała wyspa z przyjęciem chrztu świętego żywo odczuwała potrzebę przystojnego odzienia i w tym celu sporządzała je sobie z wątłej swej *tappy*; teraz mając już krzewy bawełniane, tkali sobie o wiele mocniejszą odzież. Mężczyzni uczyli się uprawy roli i ogrodnictwa, różnych rzemiosł, a własne kamieniołomy dawały dobry materyał do trwalszych, niż pierwej budowli. Niewiasty prócz domowego gospodarstwa i wychowania dzieci, plotły rogoże i przędły albo tkały.

Powoli powstały szkoły ludowe, w których missyonarze lub wykształceni przez nich krajowi nauczyciele udzielali dzieciom potrzebnych wiadomości. Już w r. 1837 powstało zgromadzenie złożone z krajowych niewiast, które wzięło w swe ręce wychowanie dziewczątek. W r. 1851 kierowały krajowe te zakonnice pięcioma szkołami i utrzymywały zakład wychowawczy dla córek naczelników. Klasztor ten położony w miejscowości zwanej Ruru liczył w dziesięć lat potem około 60 zakonnic, które takich mozolnych prac dokonywały, że Europejczyk trudno temu dałby nawet wiarę. Same one zrównały pod budowę klasztoru wzniesienie, na którem dziś stoi; same uprawiły sobie jego grunta, sprowadziły kamienie i materyał budowlany nietylko na klasztor i na kaplicę, ale i na zabudowania gospodarskie; współpracowały z mularzami i stolarzami przy wzniesieniu murów obwodowych i przy wykonaniu całego domowego urządzenia. A warto było zobaczyć te obszerne sale wychowawczego ich zakładu albo sypialnie

wykładane *tumejowem* drzewem i obstawione dokoła sześćdziesięcioma łóżkami: wszystko to wyszło z pod rąk tych pierwszych zakonnic Oceanii!... Wreszcie założyły ogród, który wśród bogatej zwrotnikowej roślinności i woni balsamicznej, zasadzony był drzewami okrytemi cały rok kwieciem i dojrzewającemi owocami.

Zawczasu też poczęli myśleć missyonarze o wychowaniu krajowego duchowieństwa, jako podstawy gruntownego przeobrażenia ludności i w tym celu założyli na Akenie szkołę łacińskiego języka, która już w r. 1841 dwudziestu trzech uczniów liczyła. Wszyscy wychowankowie tego zakładu w dziesięć lat potem mówili już biegle po francusku, a zdolniejsi z pomiędzy nich odbywali wyższe studya klasyczne. Nie małą zaś pomocą do tego stała się drukarnia założona w roku 1840, w której drukowano książki narzeczem ludowem.

Idąc za zwyczajem cywilizowanych narodów, przyjął król Maputeo barwę i flagę krajową, a mianowicie pięć gwiazd w polu białem i niebieskiem, a już w roku 1844 przyjął protektorat francuski. I słuszne miał do tego powody. Szczupła liczba mieszkańców i samo nawet geograficzne położenie wystawiały wyspy Gambier raz po raz na powtarzające się napady korsarzy. Prócz tego narodowość francuska missyonarzy i język ich, którym już ludność mówić poczynała, jak niemniej i dobroć króla Ludwika Filipa, który obdarował krajowców pierwszemi warsztatami tkackiemi i narzędziami rozmaitych rzemiosł, pociągający wywierały wpływ na króla Maputeo, by się w ten sposób zbliżyć do Francuzów, a państwo swoje zabezpieczyć.

* * *

Niebawem zewnętrzna postać archipelagu całkiem się zmieniła. Nieużytki po dolinach zostały zamienione w pola uprawne i ogrody, osuszono liczne bagna, pozasadzano mnóstwo drzew owocowych i ulepszono rolnictwo, sprowadzono z Europy potrzebne narzędzia. Hodowla owiec i kóz wybornie się przyjęła; na wytępienie szczurów, z któremi nikt sobie rady dać nie mógł, sprowadzono nieznane tutaj i wielce podziwiane przez krajowców — koty, a kur i domowego ptactwa pełne były podwórza.

Nie mniej korzystnie wpłynęło na nadanie pewnej ogłady mieszkańcom zaprowadzenie murowanych domów w miejsce szałasów z gałęzi i liścia. Była to atoli rzecz niezmiernie trudna: nietylko rolnictwo zajmowało nazbyt wiele czasu, ale do tego — co gorsza, wyspy same nie posiadały kamienia odpowiedniego do budowy; trzeba go była szukać aż na morzu i nietylko z wielkim dobywać mozołem, ale jeszcze zdala — bo z odległości pięciogodzinnej na tratwach przywozić i tutaj dopiero ociosywać. Podobnie i wapno dobywano z morza w ten sposób, że łamano liczne owe koralowe rafy, jakie otaczają archipelag i z nich wypalano wapno. Piasku zaś dostarczało wybrzeże. Nic atoli tak bardzo nie utrudniało budowy, jak brak odpowiedniej ilości narzędzi i koni lub innych zwierząt pociągowych; a przecież wznosiły się ustawicznie nowe — i to nieraz okazałe domy, pod kierunkiem kilku Braciszków zakonnych, którzy też wkrótce wyćwiczyli w tem rzemiośle dostateczną ilość wyspiarzy.

Pierwszą budową a razem próbą, było bardzo skromne mieszkanie dla X. Biskupa; następnie stanął na każdej wyspie kościółek budowany z ciosu, a na Mangarewie — jako najgłówniejszej — »katedra biskupia«. Była to wcale okazała budowa, mająca długości

160 stóp a odpowiedniej temu szerokości i wysokości z piękną kolumnadą dokoła. Królowi zbudowano dwór a missyonarzom skromne pomieszkania; za takim przykładem poszli naczelnicy krajowi i zamożniejsi mieszkańcy. W r. 1842 nie wystarczały już cztery przez missyonarzy zbudowane wapienniki, które ani na chwilę nie przestawały być czynne; musiano nowe jeszcze zbudować.

Tak tedy w lat zaledwie kilkanaście, przepływający tędy podróżni ze zdumieniem podziwiali teraz dawne bagna, gaje i urwiska, zmienione w prawdziwy ogród i uprawne pola, a po wszystkich dolinach rozsiane białe, zazwyczaj piętrowe domy, ocienione gajami z drzew owocowych; dokoła zaś roztaczał się przed oczyma pyszny krajobraz.

Handel począł się też rozwijać. Okręty europejskie i amerykańskie zabierały płody tutejsze, z wyjątkiem owoców z drzewa chlebowego, które król sprzedawać zakazał dla tej przyczyny, że częste a gwałtowne burze panujące w tych stronach, niszcząc nieraz wszystkie zasoby, zmuszały do zabezpieczenia się na przyszłość przez zachowanie owocu czy to w stanie zwanym *mei* czy też jako *tioho*.

Przez wysuszenie bagien, uprawę roli i ogromne podniesienie roślinności na wyspach, klimat ich zyskał niesłychanie na swej zdrowotności, a w połączeniu z czystością obyczajów i ochędóstwem dał się odrazu odczuć w zmniejszeniu chorób i śmiertelności.

Nawrócenie wysp Gambier wraz z rozkwitem cywilizacyi i szczęścia we wszystkich kierunkach, należy do najpiękniejszych tryumfów wiary katolickiej w nowszych czasach.

SPIS RZECZY:

W Administracyi „MISSYJ KATOLICKICH“

Kraków, ul. Kopernika Nr. 26,

i w tych księgarniach, w których prenumeruje się „Missye Katolickie“

nabyć można następujące dzieła:

Wyprawy missyjne do krajów Zambezy w południowej Afryce przez *X. J. Hołubowicza.* Dzieło ozdobione 25 rycinami. — Cena 1 złr. 50 cent. (mrk. 3), w ozdobnej oprawie 2 złr. (mrk. 4).

Dzieje Chrześcijaństwa w Japonii przez *X. J. Hołubowicza,* z kilkunastu rycinami. — Cena 1 złr. (mrk. 2), ozdobnie oprawne 1 złr. 50 cent. (mrk. 3).

W północnej Ameryce Atabaska Mackenzie napisał *X. Władysław Zaborski,* w 8-ce str. 112, z kilkunastu rycinami. — Cena 50 cent. (mrk. 1).

Szkice cywilizacyi Afryki południowej przez *X. Marcina Czermińskiego,* dzieło w 8-ce, str. 208, z 32 illustracyami, wydanie na welinowym papierze. — Cena 1 złr. (mrk. 2), w ozdobnej oprawie 1 złr. 50 cent. (mrk. 3).

Pamiętnik Niewolnika Afrykańskiego *X. Daniela Sorur Pharim Dena,* kapłana-murzyna, wydanie ozdobione 10 rycinami, na welinowym papierze. — Cena 30 centów (60 fenigów).

Szkice z Indyj napisał *X. Marcin Czermiński,* dzieło w wielkim formacie z kilkudziesięciu rycinami, na papierze welinowym, w pięknej okładce. — Cena 2 złr. (mrk. 4), w ozdobnej oprawie w płótno angielskie 3 złr. (mrk. 6).